NR 17 (61) CENA 1 ZŁ

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 26 kwietnia 1959 r.

OSKAR LIŃDAY

HAŃBA czy TRIUMF ATOMU?

Szanowny Panie Redaktorze!

Kiedyś rozmawialiśmy dość swobodnie u Was w redakcji, że trzeba by Czytelników zapoznać z problemami „wielkiej polityki atomowej", które tak dręczą i nurtują współczesność. Wyszła z tego na łamach „Odgłosów" — strach dziś wspomnieć — „Doktryna zagłady". Potem drukowaliście jakieś opinie i polemiki i wszystko sprowadzało się do roztropnego stwierdzenia astrologa z czasów scholastycznych: dobrze, że jest źle, bo skoro ludzie wiedzą jak źle jest, to już gorzej nie może być. Stare to sprawy i nie warto o nich mówić. Warto wszak zanotować, że niektórzy ludzie dostają drgawek jak się mówi o atomach a wielu dostojnych obywateli, realnie dostrzegających na horyzoncie swego życia sympatyczne kształty własnego samochodu, jednorodzinnego domku lub co najmniej telewizora, warunkuje to spełnieniem się sakramentalnej klątwy: „Bodaj szlag trafił wszystkie atomy!"

A jak PAN zainstalowała eksperymentalny reaktor atomowy w Świerku, to sam wysłuchiwałem opinii, bardzo jasno oświeconych osobistości: „Jeszcze nam ta cholera była do szczęścia potrzebna".

I po co to wszystko, Panie Redaktorze?

Tymczasem bowiem świat jak długi i szeroki, a właściwie jak okrągły, coraz więcej mówi o atomach i coraz rzadziej przywołuje z tym imieniem widmo Hiroszimy.

Zainteresowałem się. Poszedłem do „Globusa" (wycinki prasowe) i spytałem, czy ktoś abonuje wzmianki o pokojowym wykorzystaniu energii atomowej. Sprawa była widać tak błaha, że nawet nie skwitowano mnie nowopolskim: „Co to pana obchodzi" — przeciwnie

Dalszy ciąg na str. 2

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

Dwa kościoły nie sprzyjają cudom

Jeden, drugi i jeszcze trzeci most na rzece. W kilka minut później — miasteczko Warta.

Ledwie PKS minął pierwsze domy, oto i stanął w „śródmieściu".

— Bagaże będziemy zdejmować — powiedział konduktor do kierowcy.

Na takich przystankach PKS nigdy nie zatrzymuje się długo. Z bagażem uwinęli się szybko stanowił go lekki wózek dziecięcy. Na jego właścicielkę z krzyczącym przez całą drogę dzieckiem czekało siedem osób. Uściski, cmokane przywitania.

Dziwiłem się później, dlaczego tylko siedem osób. Przecież wszyscy mieszkańcy są tutaj z sobą w jakiś sposób spokrewnieni i spowinowaceni — o czym powiedział ktoś dobrze znający miejscowe stosunki. Ano cóż, można sobie na to pozwolić, kiedy miasteczko liczy niecałe trzy tysiące mieszkańców.

Nie mogłem się napatrzyć na domy w Warcie: śmiesznie malutkie, jakby miniaturowe, z małymi okienkami. A przecież nie chaty lecz kamienice. I do tego proporcjonalnie wąskie uliczki, typowo prowincjonalne szyldy. Właśnie szyldy. Takich szyldów jak w Warcie czy w Sieradzu nie spotkasz ani w Łodzi, ani w Warszawie. Szerokie, drewniane, wypłowiałe i zakurzone, często nachylone nad wejściem do sklepów, zwykle o jednakowych, prostych i dużych literach.

* * *

Prezydium, Komenda Milicji, kierownictwo miejscowej szkoły. Ale nie tak, panowie i towarzysze, nie tak dużo cyfr, nie tak sucho, nie tak oficjalnie. Po co mi te wszystkie papierki? Przecież to nie inspekcja. Przecież nie chodzi o same żyły, o arterie, ale o krew, która w nich płynie.

Tylko kierownika szkoły nie miałem siły naciągnąć na swobodną rozmowę, byłem zmęczony. Coś o krwi powiedziała milicja. Z dwoma panami z Prezydium pogadałem sobie o rybkach — jak to facet całą noc trzymał na wędce przeszło 30-kilowego suma, bał się, żeby go nie wciągnął, a dopiero za dnia wyprowadził suma na płytką wodę i zabił.

— W nocy, panie, nikt rozsądny do rzeki nie wejdzie.

* * *

Komenda Milicji. Cóż to za pożyteczna dla reporterów instytucja. Wszystkie problemy, wszystkie tętna miasta odbijają się tutaj.

Warta uchodzi za najbardziej „chuligańskie" miasteczko w powiecie. Szczyci się posiadaniem 6 nałogowych alkoholików (leczonych w szpitalu „psychicznym"), codziennymi interwencjami milicji w sprawy niezwłocznie tego wymagające, ponadto — częstymi procesikami o zniesławienie, o ziemię, awanturami o mieszkania, kradzieżami.

Oczywiście nie o wszystkim w Komendzie oficjalnie wiadomo. Milicja się żali na przykład, że doskonale wie, iż X. ukradł Zetowi pierzynę i kożuchy. Z. sam wreszcie odebrał tę pierzynę i kożuchy. Ale czemu nie zameldował o kradzieży? Albo z orzechami — to samo.

Ci, którzy do Warty przybyli przed kilkoma laty i mieszkają tu tak, tymczasem, potwierdzają orzeczenie władz milicyjnych: ludzie w Warcie są wyjątkowo źli. Mieszkańcy tymczasowi, to inteligenci zapewne mogący się zdobyć na obiektywizm. Poza tym, siedzą tu od niedawna, wszystko w sposób wyraźny rzuciło im się od razu w oczy.

Źle o swych parafianach mówi również proboszcz. A przecież ma praktykę, w niejednym już miasteczku obserwował ludzi. W Warcie tak samo, jak gdzie indziej cieszy się dużym autorytetem, ale nie zdarzyło mu się nigdzie poza Wartą, aby młodzi ludzie bezceremonialnie klepali się przy nim po zadkach. Kiedyś uczestniczył w zebraniu, które po ostrej dyskusji zakończyło się awanturą. Organizatorzy zebrania zapewniali go, że było względnie spokojnie, z powodu obecności jego, tzn. księdza.

Niedawno w Warcie szesnastoletnia dziewczyna poroniła. Było o tym głośno. Ksiądz wie, że takich wy-

Dokończenie na str. 5

Nasza szkółka

Pod publiczkę

Donosy miewają różnorodną formę. Ludziom wprawnym udało się już ponoć donosy namalować, skomponować i „wygrać" na organach. Trudno więc przypisać Stefanowi Kozickiemu laur odkrywcy, jeśli swój donos do urzędu skarbowego na obywatela wsławionego umiejętnościami w wypieku ciastek i córek, ubrał w formę reportażu literackiego.

Bawiąc na imieninach u p. Krystyny Zajkowskiej — miss Łodzi i wicemiss Polski — policzył był p. Kozicki butelki koniaku, telewizory, lodówki i potencjalne samochody z wielkim znawstwem buchalteryjnym. Cały spis zamieszczony został w tygodniku „Od nowa" (numer 14, sprzed dwóch tygodni). Ostatecznie wszakże co nas to obchodzi. Jest to sprawa między panami Zajkowskim i Kozickim, który to zapewne więcej do mieszkania miss Łodzi nie będzie wpuszczony.

Reportaż Kozickiego poświęcony jest portretowaniu panny Zajkowskiej. Zawiera ów portret prawdę nie nową, ale godną przypomnienia, że psyche i obyczaje reprezentantów młodzieży inteligenckiej, a nawet jej złotego odłamu, dalekie są od atomowych mitów, od wyobrażeń spod znaku współczesności i „Współczesności". Tancerze rock'n roll w swej masie są tradycjonalnie mieszczańscy, marzą o gabinetach i serwisach, czytają literaturę sentymentalną, nie gustują w Hemingwayu i chodzą do Operetki, podziwiając te same gwiazdy (śpiewające to samo na tle tych samych dekoracji — tyle że gorzej) co ich dziadkowie.

Kozicki swój portreto-reportaż kontrastuje „ogólnymi wstawkami" o Łodzi. Między innymi zauważa „Od głosy" i konstatuje, że są one robione „pod publiczkę". Uogólnienie to egzemplifikuje reportażem odgłosowym... o problemie trzeciej zmiany.

Nie wiem, czy dzieło Stefana Kozickiego „Imieniny wicemiss" ze zdjęciami i wymiarami ciała panny Zajkowskiej robione jest pod Polską Akademię Nauk. Wiem tylko to, że właśnie słowa „pod publiczkę" podziałały na Belfra najbardziej zapładniająco spośród wszystkich innych słów, jakie Kozicki był uprzejmy napisać.

Oczywiście „biorąc na warsztat" sformułowanie „pod publiczkę" nie mam zamiaru odgryzać się Kozickiemu — teoretykowi, a czasem nawet praktykowi reportażu. Dowody braku takowego zamiaru złożyłem wyżej, a mam zamiar złożyć i niżej.

Problem ten był przedmiotem publicystycznych deliberacji w odniesieniu do twórczości artystycznej i jej dystrybucji. A przecież w całej rozciągłości dotyczy również prasy.

Gazetki i periodyki redagują zazwyczaj grupy ludzi, których interesują pewne zasadnicze i poważne, jeśli nawet komiczne i paradoksalne, problemy współczesności. Gazety i periodyki konsumują ludzie o ograniczonej, przynajmniej ilościowo, zdolności do odbierania elaboratów o pryncypiach epoki. W takim układzie albo następuje kompromis, albo drukowane płachty umierają z braku odbiorcy.

Oczywiście czasem dzieje się odwrotnie. Zainteresowania czytelnicze przerastają jakościowo zainteresowania redaktorów. Wtedy właśnie powiadamy, że pismo robione jest pod publiczkę, które to sformułowanie, jak sam wywód wskazuje, pozbawione jest sensu.

Owa podstawowa, dziennikarska sztuka kompromisu nie jest obca, jak widać, samemu Kozickiemu, który swoje obserwacje na temat nieco młodszego od siebie pokolenia, opatruje szczegółowymi danymi o obwodzie w pasie, piersiach i biodrach panny Zajkowskiej. Jako też nie są mu obce procesy obumierania czasopismowych organizmów adresowanych w chmury lub do zbyt wąskiego kręgu amatorów wpłacania do kiosku dwóch i pół złotówek. A przecie nie jest to sprawa pieniądza jako takiego, ale pieniądza jako legitymacji obecności czytelnika.

Każdy człowiek w pewnym wieku staje się konserwatystą. Czasem polega to na kultywacji zgoła postępowych zresztą przekonań i nawyków jego młodości, zachowujących swą postępową aktualność. (Z odwrotności powyższego bierze się nasz brak zaufania do gardłujących za socjalizmem starych endeków). Zachowawczość właściwa pewnemu wiekowi może mieć dwojaką formę: albo bezkompromisowości (wtedy oglądamy zespoły mamutów, dających sobą widowisko komiczne, acz często tragiczne w swej treści), albo przyjmowania kompromisu — owej ścieżki rozumnej konieczności o śliskich i stromych brzegach.

Pismo — to wbrew pozorom nie materia nieożywiona — płachta papieru. To zespół ludzi. O tyle dziwny, że podlegający zarazem prawidłowościom rozwoju i ludzkiej jednostki i ludzkiej społeczności w najszerszym sensie.

Myślę, że w sposób przynajmniej pośredni wynika stąd jasno, jak bardzo Kozicki skomplementował „Odgłosy" nazywając je pismem robionym „pod publiczkę" i egzemplifikując w dodatku swą tezę odgłosowym reportażem o trzeciej zmianie. Myślę, że skomplementował ponad rzeczywiste zasługi.

Panna, a niebawem dr Zajkowska marzy — jak pisze Stefan Kozicki — o własnym gabinecie. W takich gabinetach jednak czasem leczy się ludzi. Jeśli społecznemu powodzeniu „gabinetów" służy fakt właściwego obwodu w biuście, talii i biodrach ich właścicieli, owe prawidłowości wymiarów stają się sprawą społeczną, ergo-polityczną. Kroczmy tedy we wspólnym z Kozickim pochodzie ku 58 cm w pasie i 88 cm w piersiach, bo w ich cieniu pomieszczą się i dotrą gdzie trzeba sprawy tej czy owej zmiany.

BELFER

HAŃBA czy TRIUMF ATOMU?

* Dokończenie ze str. 1 *

grzecznie przejrzano rejestr. Nikt. Porozumiałem się ze znajomymi w kilku redakcjach. Jeden nawet wiedział co to jest strefa bezatomowa w Europie i udzielił mi krótkiego wykładu o błyskotliwej inteligencji ministra Rapackiego. W PAP-ie starszy woźny pamiętał, że było dużo szumu i wszystkie dalekopisy stukały jak przyszła wiadomość o pierwszej elektrowni atomowej w ZSRR. Ale od tego czasu to już mówi się tylko o amerykańskim „Nautilusie", który ze zdalnie sterowanymi rakietami przepłynął pod lodami bieguna północnego. I o atomowym lodołamaczu „Lenin".

Coś podobnego! — pomyślałem — zbiera się ten plon z doktryny zagłady.

A Pan co o tym myśli, Panie Redaktorze?

Mówi się u nas w kółko: stopa życiowa, produkcja, energia. Terminologia ekonomiczna weszła na trwałe w krwiobieg codziennego języka. Więc jeśli nie ma Pan wstrętu do cyfr przytoczę jedną, bardzo pouczającą tabelkę, którą przepisałem ze sprawozdania Sekretariatu ONZ:

część świata	ludność w proc.	prod. w proc.	energia w proc.
Ameryka Północna	**6,9**	**40,4**	**40,5**
Europa	**24,9**	**38,2**	**37.9**
Azja	**52,7**	**12,9**	**14,1**
Ameryka Południowa	**6,8**	**4,4**	**3,7**
Afryka	**8,2**	**2,6**	**2,7**
Australia i Oceania	**0,5**	**1,5**	**1,1**
Świat	**100,0**	**100,0**	**100,0**

Liczby są szacunkowe, przybliżone i dość odległe — 1950 rok. Obecnie wiadomo już, że znacznie polepszyły się proporcje europejskie, głównie dzięki ciągle intensywniejszemu rozwojowi ZSRR i azjatyckie — za sprawą Chin. Zestawienie jednak posiada tę ogromną wartość, że jest kompletne i bezpośrednio poprzedza okres wprowadzenia energii atomowej do produkcji pokojowej.

Jak należy odczytywać tę statystykę? Po pierwsze: poziom wytwarzania energii (wg niego zestawiono kolejność w tabeli) odpowiada poziomowi produkcji; po drugie: poziom produkcji w zestawieniu z ilością ludności dokładnie odpowiada temu, co zwykliśmy określać „strefami dobrobytu" i „strefami nędzy".

W procesie wzrostu produkcji nie da się ominąć równoczesnego i proporcjonalnego wzrostu zużycia energii. Np. Stany Zjednoczone w ciągu 50 lat zwiększyły swą produkcję pięciokrotnie zwiększając zatrudnienie tylko dwa razy (postęp techniczny, wydajność pracy!). Ale w tym samym czasie wzrosło zużycie energii również pięciokrotnie (dokładnie o 480 proc.). Cudów nie ma. Nowoczesne, wydajne automaty potrzebują niewspółmiernie więcej energii niż stare maszyny.

W USA wartość tej energii na jednego mieszkańca wyraża się ilością 7,6 tony węgla rocznie; w Abisynii — odpowiednio — 0,01. Oba te kraje stoją na dwóch przeciwległych biegunach dobrobytu. A więc wysoka stopa życiowa, dobrobyt ostatecznie zależą od ilości wytwarzanej energii. Współzależność ta jest oczywista i nieubłagana. Rozumiał to już Lenin, rzucając pamiętne hasło: „Komunizm — to Władza Rad plus elektryfikacja całego kraju".

A jak z tą energią? Źle. Nasza wspaniała cywilizacja zużyła jej już tyle, ile zużyto w ciągu 18 poprzednich wieków. I co gorsze — zużycie podwaja się co 10 lat. Zasoby konwencjonalnych źródeł energii — węgla i ropy naftowej kurczą się w zastraszającym tempie, a poza tym oba te surowce — w związku z rozwojem chemii — nabierają coraz większego znaczenia przemysłowego (masy plastyczne, farmaceutyki) i ich użytkowanie nieenergetyczne staje się bardziej opłacalne i celowe.

Otóż właśnie w momencie gdy zarysował się kryzys energetyczny cywilizacji, pękło jądro atomu. Pesymiści utrzymują, że stało się to wyłącznie dla celów militarnych, a cały program pokojowy został dobudowany przez propagandę. Bzdura. Pierwszy reaktor atomowy (1942 rok!) w Chicago był praprototypem współczesnych elektrowni atomowych i w tym celu został zbudowany. Dopiero hochsztaplerzy różnego autoramentu zwietrzyli w tym genialnym odkryciu dobry interes na zbrojeniach. I to jeszcze długo musieli przekonywać Roosevelta, żeby wyasygnował 2 miliardy dolarów na produkcję bomb atomowych. Późniejsza historia jest znana i jest historią hańby. Dziś już widać wyraźnie, że atom wchodzi na drogę triumfu.

Oto jej wyraźne symptomy:

Pierwsze: jeden z radzieckich uczonych użył następującego porównania: jeżeli zgromadzimy wszystkie zasoby energii konwencjonalnej, a więc węgla, ropy naftowej, siły spadku wód i in.., to pokryjemy nimi powierzchnię ziemi warstwą grubości jednego centymetra. Analogiczna wartość energii ze źródeł atomowych, dziś nam dostępnych, zajęłaby kulę o średnicy 13 tysięcy kilometrów, a więc masę odpowiadającą rozmiarom globu ziemskiego! Wniosek: energia atomowa jest praktycznie niewyczerpalna. Wytrzymuje najbardziej karkołomne kalkulacje i fantastyczne przewidywania co do dalszego rozwoju cywilizacji!

Drugie: energia atomowa już dziś jest opłacalna. Dwa lata temu supernowoczesne wielkie elektrownie konwencjonalne dawały prąd o 5—8 proc. tańszy od prądu elektrowni atomowych. Były one jednak ostatnim słowem techniki, gdy energetyka atomowa stała dopiero na starcie. Potrzeba było zaledwie dwóch lat, aby szanse się wyrównały. W tej chwili żadna konwencjonalna elektrownia nie wytrzyma konkurencji z elektrownią atomową.

Trzy kraje: ZSRR, Anglia i USA (kolejność według wysokości nakładów inwestycyjnych) podjęły gigantyczny program rozwoju energetyki atomowej. Przewiduje się — i to zupełnie realnie — że w 1970 roku energia elektryczna pochodzenia atomowego przewyższy energię pochodzącą z wszystkich innych źródeł. To już jest rewolucja.

Nie trzeba dodawać, że elektrownie atomowe nie wymagają kosztownego transportu węgla, ich sieć może być gęstsza — nie potrzebne więc będą wielosetkilometrowe linie wysokiego napięcia, że praca w tych elektrowniach odbywa się w białych fartuchach, za pulpitami kontrolnymi.

Tyle, Panie Redaktorze, mojej ekspiacji. Jeżeli zechce się Pan przyłączyć, to wznieśmy razem toast za pomyślność nowej, atomowej epoki.

OSKAR LINDAY

Lista dopuszczonych do losowania nagrody specjalnej

W dniu 16 bm. odbyło się w Redakcji tygodnika „Odgłosy" posiedzenie komisji konkursu „Wszystko o mieszkaniach", mające na celu rozpatrzenie kandydatur do nagrody specjalnej. Komisja obradowała w składzie: Zbigniew Chyliński (przewodniczący), Marta Cedrowska — (przedstawiciel redakcji „Odgłosów") i Stanisław Roszkowski (przedstawiciel Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi — Wydział Spraw Lokalowych.) Obrady komisji odbyły się przy udziale przedstawiciela Państwowego Biura Notarialnego w Łodzi ob. notariusza Stanisława Kurpiela. Zgodnie z przyjętym przez komisję a sporządzonym przez notariusza Kurpiela protokółem następujące osoby odpowiadają wszystkim warunkom regulaminu losowania nagrody specjalnej i tym samym zostają dopuszczone do losowania tej nagrody:

1. Jerzy Gadziński, Łódź, ul. Abramowskiego nr 30.

2. Anna Klepacz-Kais, Łódź, ul. Przestrzenna nr 31.

3. Jerzy Kubik, Łódź, ul. Różyckiego nr 6.

4. Tadeusz Palczewski, Łódź, ul. Armii Ludowej nr 19.

5. Wacław Połcer, Łódź, ul. Przędzalniana nr 96.

6. Czesław Sałata, Łódź, ul. Miedziana 18.

7. Wiesław Szałczyński, Łódź, ul. Częstochowska nr 14.

8. Ryszard Szyłko, Łódź, ul. Okrzei nr 15.

9. Adam Tomczak, Łódź, ul. Sienkiewicza nr 34.

KOMUNIKAT O TERMINIE I MIEJSCU LOSOWANIA NAGRÓD

Losowanie wszystkich nagród w konkursie „Wszystko o mieszkaniach" odbędzie się w dniu 26 kwietnia 1959 r. o godz. 12 w lokalu Klubu Dziennikarzy w Łodzi, ul. Piotrkowska 96.

Przypominamy, że uczestnicy konkursu, którzy pretendowali do nagrody specjalnej, a ze względu na to że nie odpowiadali wszystkim warunkom regulaminu i wobec tego nie zostali dopuszczeni do jej lossowania, uczestniczyć będą w losowaniu nagród głównych.

Wkrótce ukażą się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego

Igor Sikirycki
IGRASZKI I FRASZKI
cena zł 12.—

* * *

Jan Czarny
FRASZKI
cena zł 12.—

* * *

Władysław Pawlak
KARUZELA
(opowiadania)
cena zł 10.—

BERNARD PIKASSIK

WZORY i WZORKI

Pani C. bardzo lubi suknie w grochy. Znana elegantka pani Z. uważa, że godny kobiety jest tylko zgniłozielony gładki materiał. Natomiast pani P. jest odmiennego zdania. Twierdzi, że tylko wzór w „ciapki" albo geometryczny pasuje do letniej sukienki. Ostatnia spośród czterech przyjaciółek pani B. jest entuzjastką drobnych tureckich, kwadratowych wzorów. Jeśli w sklepie włókienniczym są wzory w groszki a nie tureckie, pani B. jest niezadowolona. Gdy pani C. zamiast groszków widzi wzory geometryczne albo w „ciapki" — oburzenie jej nie ma granic. To samo jest z pozostałymi paniami Z. i P. Wszystkie przyjaciółki — jak każda kobieta — chodzą po sklepach, szukają potrzebnych materiałów i narzekają.

Aby zaspokoić potrzeby pań C, Z, P, B, plastyczki z Komórki Wzorcującej Zakładów im. J. Marchlewskiego malują wzory na nowe tkaniny.

* * *

Od bramy wejściowej zakładu do Komórki Plastycznej idzie się około dziesięciu minut. Tu, w niewielkim pokoju pochylone nad wzorami pracują plastyczki. Pędzel powoli zakreśla kształt przyszłego wzoru. Chwila zastanowienia nad dobraniem koloru. Może żółty?... zielony?.. niebieski?.:: Może tak?... może inaczej?... Trudno o decyzję. Na kawałkach kartonu powstają projekty, które wkrótce ożyją w barwnej tkaninie. Piętro niżej, rytownicy przeniosą wzór na wały rotacyjne. W „kuchni farb" doprawi się odpowiednie barwniki, potrzebne do zadrukowywania tkaniny. Tuż obok na parterze, wielkie maszyny pokryją setki metrów materiału wzorem, który zrodził się w pracowni plastycznej. A potem jeszcze wielu ludzi będzie pracowało nad tym, aby zamysł plastyka uzyskał właściwy kształt.

W pracowni nad wykończalnią panuje artystyczny chaos. Na stołach dziesiątki farb. W tubkach, w specjalnych naczyniach. Dziesiątki małych i dużych pędzli. Stosy papieru...

To wszystko jest „koniecznie potrzebne", jak mówią plastyczki. W tym pozornym nieładzie każda rzecz ma swoje miejsce. A jeśli komuś czego zabraknie, zawsze znajdzie się potrzebna rzecz na sąsiednim stole.

Żółć chromowa, ultramaryna ciemna, czerń słoniowa, biel cynkowa. Każdy odcień koloru ma swoją nazwę. Dla człowieka, który nie miał bezpośredniego związku z plastyką, jest tu coś z alchemii, coś ze świata czarnoksiężników. Tu trzeba dodać... rozbielić, złamać. Każda z plastyczek ma swoje tajniki przyrządzania kolorów — tak samo zresztą jak każda ma swój ulubiony kolor. Mimo że pracują tuż obok siebie — stół przy stole, zawsze można odróżnić kto jest autorem wzoru. Indywidualność twórcy dostrzegalna jest w każdym ruchu pędzla. Wiadomo, że pani Krystyna maluje z dużym rozmachem, ma śmiałą, szeroką kreskę. Przeciwieństwem jej jest pani Barbara. Maluje ona powoli i systematycznie, wielekroć powtarzając to samo pociągnięcie. Każdy jej projekt jest wypieszczony wielogodzinną pracą. Tak samo jest z pozostałymi plastyczkami. Pani Ania w swoich wzorach jest różna od pani Zosi, pani Danusia maluje z większym temperamentem od swych koleżanek a jedyny mężczyzna, pan Gienek, odbiega i wyobraźnią i rysunkiem od tego, co robią kobiety. Każdy wzór jest inny. A przecież malowanie wzoru, techniczna strona tej pracy jest zawsze taka sama.

Najpierw na normalnym papierze rysunkowym szkicuje się projekt. Przy każdym stole stoi pokaźny kosz na makulaturę. Tu wędrują nieudane szkice. Pod koniec dnia kosz jest prawie pełen, a na biurku wybrane przez plastyka leżą dwa—trzy szkice. Z tej trójki, czy dwójki wybiera się najlepszy i za pomocą kalki technicznej przenosi się na tzw. podfarbówkę. Jest to kawałek bristolu zamalowany jednym kolorem. Stanowi on tło wzoru. Na tym tle nakładać się będzie inne barwy. Ale zanim projektant zacznie malować jeszcze raz wraca do kalki technicznej. Pomaga ona plastykom w bardzo ważnej czynności jaką jest raportowanie. Otóż pewien motyw musi się powtarzać w materiale określoną ilość razy. Ilość ta uwarunkowana jest wielkością motywu, jak również i wielkością wałka w maszynie, która wzór będzie odbijała. O tym wszystkim muszą pamiętać projektanci posługując się często linijką i tabliczką mnożenia. Trzeba też uważać, aby w tkaninie nie robiły się tzw. pasy. Jeśli na przykład umieścimy na ciemnym tle jasne kwiaty i powtórzymy je kilka razy jedne pod drugimi, otrzymamy biały pas kwiatów. A to już jest niedopuszczalne.

Po przerzuceniu szkicu na podfarbówkę i odpowiednim rozmieszczeniu na wzorze, przystępuje się do malowania. Przedtem jednak nadchodzi ważny moment tzw. koloryzacji wzoru. Bardzo często służy do tego kawałek szybki lub przezroczystego plastiku, na którym dowolnie można badać działanie poszczególnych efektów kolorystycznych. Jeśli się coś nie uda, wystarczy mokra szmatka lub gąbka i pracę można rozpocząć na nowo. Bardzo często w trakcie tej czynności wzór kilkakrotnie zmienia swoją postać, aby wreszcie powędrować na Komisję Selekcyjną. Komisja przegląda prace wszystkich plastyków (a jest ich około trzydziestu zatrudnionych przy większych zakładach przemysłu bawełnianego) i kwalifikuje najlepsze wzory do produkcji.

Jeszcze dużo czasu upłynie zanim wzorzysta tkanina przewieziona zostanie do sklepu lub skierowana na eksport. Same tylko Zakłady Marchlewskiego eksportują tkaniny do 24 krajów. Nie zawsze najładniejsze wzory rzucane są na rynek krajowy. Czasem dystrybucja dostarczy atrakcyjne towary po sezonie.

Plastyczki od Marchlewskiego tworząc nowe oryginalne wzory, niech nie psują sobie radości twórczej myślami o dystrybucji. Bo przecież ich zadaniem jest malować jak najładniej i jak najwięcej. Tak aby wszystkie nasze panie nie miały powodów do narzekania...

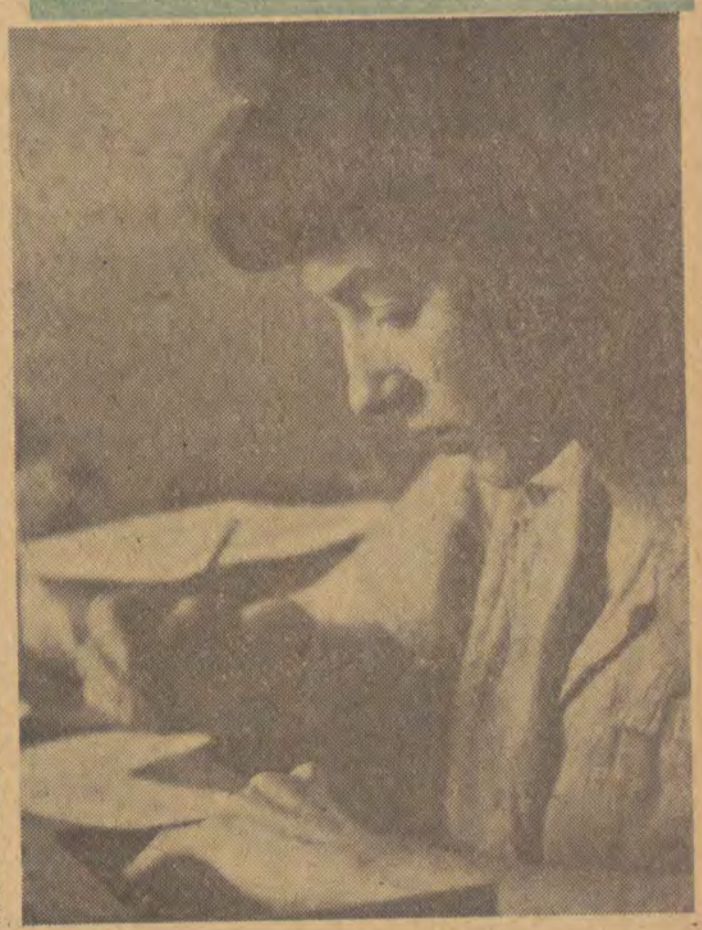

Foto: WACŁAW BILIŃSKI

Według
ROBERTA
CHARROUX

Nie odnalezione skarby świata (I)

Słuchać opowieści o skarbach — to jakby zrobić skok w krainę baśni i legendy. Tajemnicze kryjówki, podmorskie groty wypełnione złotem i klejnotami — od wieków fascynują wyobraźnię ludzką. A przecież nie wszystko jest bajką! Na dnie mórz lub głęboko pod ziemią spoczywają rzeczywiście nieprzebrane skarby, czekające na to, aby je ktoś odnalazł...

Wyspa Kokosowa — melina piratów

Wyspa ta należy do republiki Costarica. Położona na Oceanie Spokojnym, niedaleko wybrzeży Kolumbii, jest skalistym blokiem, długości około 8 km, szerokości zaś prawie 4 km. Wysoko w górę wznoszą się porośnięte drzewami kokosowymi wierzchołki trzech wulkanów.

Na wyspie znajdują się dwa źródła wody słodkiej, jedno w pobliżu zatoki Wafera, drugie niedaleko zatoki Chathama.

Niezamieszkała, położona z dala od utartych tras okrętowych, Wyspa Kokosowa była ulubioną kryjówką korsarzy, operujących na Oceanie Spokojnym w okresie od XVI do XIX wieku.

Korsarz Davis pozostawił wszystko, co zdobył

W roku 1683 flotylla korsarska pod dowództwem kapitana Edwarda Davisa grasowała po całym Pacyfiku. Davis i jego wspólnicy: Dampier, Lionel Wafer i Ambrozy Cowley zajęli szturmem miasto Leon (Nikaragua) i zrabowali je doszczętnie. Upojeni łatwym zwycięstwem piraci porwali się wówczas na potężną flotę hiszpańską... i zostali całkowicie rozbici.

Davis zdołał jednak umknąć i na swoim okręcie „Delices-du Celibataire" przybił do zatoki Wafera na Wyspie Kokosowej, Tutaj rozdzielił pomiędzy załogę zrabowane łupy, ale lwią ich część zatrzymał oczywiście dla siebie.

Piraci poukrywali skarby wśród nadbrzeżnych skał, Davis natomiast zakopał tylko wielkie, trudne do przewiezienia sztuki, a klejnoty i złote monety zatrzymał przy sobie. Potem korsarze wypłynęli na pełne morze i udało im się dotrzeć do Indii. W roku 1688 Davis wyrzekł się na zawsze korsarstwa i ani on, ani nikt z jego ludzi nie powrócili już nigdy na Wyspę Kokosową, aby odkopać ukryte tam skarby...

300.000 piastrów i klejnoty w grotach nadmorskich

Bennet Graham, korsarz o przezwisku „Benito o krwawej szpadzie" panował nad południowym Pacyfikiem w początku XVIII wieku. Zginął w bitwie, w której angielska fregata zatopiła jego okręt „Relampago". Z całej załogi uratował się tylko jeden młody chłopak okrętowy, który zeznał, iż wszystkie łupy, zdobyte w ciągu długich lat przez piratów, są ukryte na Wyspie Kokosowej:

„Trzysta tysięcy piastrów, klejnoty, drogie kamienie i złote zastawy znajdują się w grotach i skałach nadmorskich na wschodnim wybrzeżu wyspy, w pobliżu zatoki Wafera".

Skarb ten, oceniany na miliardową wartość, nie został dotąd znaleziony.

Statek, pełen klejnotów...

Trzeci skarb, ukryty na Wyspie Kokosowej, jest cenniejszy jeszcze od obu poprzednich. Istnieje nawet dokładny spis wszystkich kosztowności i plan sytuacyjny kryjówki.

W roku 1820, podczas południowo-amerykańskich walk niepodległościowych, generał San Marin lądem, a lord Cochram morzem zbliżali się do Limy, która znajdowała się w rękach Hiszpanów. Notable miejscy i kler, opanowani paniką, zaczęli w popłochu opuszczać miasto.

W Callao (duży port, na zachód od Limy) stał tylko jeden statek, zdolny do natychmiastowego wypłynięcia na morze, „Marie-Dear", szkockiego kapitana Thompsona. Uciekający Hiszpanie zawarli umowę z Thompsonem i w czasie dwóch dni na statek załadowano wszystko co było w mieście najbardziej cenne: złote i srebrne monety, klejnoty, drogie kamienie, szczerozłote świeczniki i kandelabry z katedry, inkrustowane rubinami i szmaragdami relikwiarze, zastawy stołowe, stare księgi, archiwa i dzieła sztuki. Z tym drogocennym ładunkiem statek wypłynął z portu.

Kapitan Thompson nie był zawodowym piratem, uległ jednak namowom swoich towarzyszy i zezwolił na wymordowanie wszystkich pasażerów. Tak więc niezmierzone bogactwa, znajdujące się na „Marie-Dear" zmieniły swych właścicieli.

Ścigani przez fregaty wojenne korsarze schronili się na Wyspę Kokosową. W głębi wyspy zakopali skarby, potem zaś podłożyli ogień pod „Marie-Dear". Sam Thompson wraz z paroma zaufanymi ludźmi wsiadł do szalupy w nadziei, że udając rozbitków zdołają się jakoś wyratować. Lecz rysopis korsarzy był dobrze znany. W chwili, gdy przybili do lądu stałego, zostali ujęci i powieszeni. Zbiec udało się jedynie Thompsonowi, który w przebraniu dotarł aż do Nowej Szkocji.

W wiele lat później, na łożu śmierci, stary rozbójnik zawierzył pewnemu żeglarzowi nazwiskiem Keating dokładny opis miejsca, gdzie niegdyś ukrył swoje skarby. Zeznanie to zostało skrupulatnie spisane przez Keatinga:

Wylądować w zatoce Nadziei, pomiędzy dwiema małymi wysepkami. Głębokość około 10 jardów. Iść wzdłuż strumyka, 350 kroków. Skręcić na północny wschód, 850 jardów. Szczyt. Przy zachodzącym słońcu szczyt rzuca cień w kształcie głowy orła. Na granicy cienia i światła: prawa strona zaznaczona krzyżem. Tam jest ukryty skarb".

Keating odbył trzy wyprawy na Wyspę Kokosową, ale odnalazł tylko część skarbów. Z kolei przekazał tajemnicę marynarzowi Mikołajowi Fitzgerald, a ten podzielił się swoimi wiadomościami z kapitanem Curzon Howe. Jednakże ani Fitzgerald ani Howe nie dotarli nigdy do wyspy skarbów.

W muzeum w Sydney przechowywany jest list Fitzgeralda do kapitana Howe, w którym opisuje mu dzieje ekspedycji Keatinga i podaje wiele dokładnych danych o Wyspie Kokosowej.

„W odległości dwóch kabli (około 400 metrów) na południe od ostatniego źródła słodkiej wody, są trzy małe cyple. Grota znajduje się pod drugim cyplem. Christie, Ned i Auton próbowali, ale żaden z nich nie wrócił. Ned nurkował parę razy. Podczas czwartej próby odnalazł wejście. Z piątej już nie wypłynął. Nie ma ośmiornic, ale dłużo rekinów. Trzeba znaleźć dojście do groty od strony zachodniej. Myślę, że ziemia się tam osunęła i kamienie zawaliły wejście".

Stary autentyczny dokument w muzeum panamskim, zawiera spis skarbów Thompsona.

„Na głębokości czterech stóp zakopaliśmy pięć skrzyń. Na głębokości dwudziestu ośmiu stóp: pięć skrzyń zawierających 22 kandelabry ze złota i srebra, wagi około 250 funtów. Każdy wysadzany wielkimi rubinami. W odległości 12 kroków na zachód: dwumetrową statuę madonny ze złota, wagi około 780 funtów. Berło i korona też ze złota, wysadzane 1.684 drogimi kamieniami, wśród nich są 3 ogromne szmaragdy. Siedem wielkich diamentowych krzyży...

Oto najważniejsze wiadomości jakie mamy o skarbach Wyspy Kokosowej. Istotna wartość jest wręcz nie do obliczenia.

Wielu ludzi próbowało znaleźć groty i jaskinie, w których ukryte są te wszystkie wspaniałości, lecz dotąd nikomu nie dopisało szczęście.

Mistrz sportu automobilowego Malcolm Cambell i admirał brytyjski Nicholson przeprowadzili w r. 1925 staranne poszukiwania — bez żadnego rezultatu.

W r. 1931 kapitan Tony Mangel nie osiągnął lepszych wyników. Ale biorąc pod uwagę brak ścisłości dawnych instrumentów nawigacyjnych którymi posługiwał się Thompson, kapitan Mangel zrektyfikował niektóre dane sytuacyjne. Wiadomości swoje przekazał Belgowi Bergmansowi. Ten w 1933 odnalazł rzeczywiście mały złoty posążek i rozmaite klejnoty. Niestety nie zawędrowały one do żadnego muzeum, lecz zostały sprzedane w Nowym Yorku za 11.000 dolarów.

Kapitan Tony Mangel przypuszcza, że większość fortuny piracklej spoczywa na dnie podwodnej groty i twierdzi on że zna dokładnie jej położenie.

Międzynarodowy Klub Poszukiwaczy Skarbów ma dokładne plany, sporządzone przez kapitana Mangla. Niestety jednak wyprawa na Wyspę KoKosową wymaga nie tylko statku, instrumentów oraz doskonałego ekwipunku, ale także bardzo wielkich funduszy. Tak więc skarby Wyspy Kokosowej spoczywają nadal spokojnie w swoich kryjówkach...

EDWARD-EMSKI

Pustynne szczury

— Pić!

Głos jest zachrypnięty, podobny do krakania. Język — wyschnięte, opuchłe, wstrętne ciało obce — przeszkadza, nie pozwala mówić.

— Później!

Jak to dobrze, że myśl nie jest językiem! Myśli są jeszcze moje, nie zbuntowały się tak, jak język, słuchają mnie. Oto posyłam je do domu — mały strumyk, w którym łowiłem pstrągi, trawa, zielona, prawdziwa trawa! Jaka miękka, soczysta, nabrzmiała wodą. Zieleń! Delikatne, wiosenne listki brzóz, w pniu sok, wystarczy naciąć siekierą, od biedy nożem, żeby popłynął strugą!

Nie popłynie strugą! W manierce zostało parę łyków brudnej, gęstej wstrętnej cieczy!

Precz! Myśli są jeszcze moje, panuję nad nimi, posyłam je do Kairu. ESMA, duża lemoniada, z lodem, i piwo, UACHED BIRRA, nie, TNIIN BIRRA, dla mojego przyjaciela też, i dwie lemoniady, z lodem, koniecznie z lodem. I słomki!

Twój przyjaciel kroczy przed tobą w palącym słońcu pustyni libijskiej. Nie ma lemoniady, nie ma piwa. Jest parę łyków brudnej, gęstej cieczy, cudownej cieczy, płynu dającego życie, w manierce która chyboce się na jego pasie, w manierce której on pilnuje, zazdrośnie strzeże. To on każe ci tak cierpieć, w manierece jest jeszcze woda, gdyby nie on...

Precz! Myśli, daję wam rozkaz: udacie się na wycieczkę narciarską, pamiętacie, wówczas, z Ruth. Jak lekko się sunie, mimo że plecak ciężko wyładowany, Ruth przede mną toruje drogę, ile śniegu, taki głęboki, skrzypi pod deskami...

To nie śnieg skrzypi, to piasek. Przed tobą idzie nie Ruth, a Peter. On ma wodą, a ty masz... rewolwer...

Precz! Oto jestem zwrotniczym, przestawiam zwrotnicę, z wysiłkiem, jest ciężka, szyny przesuwają się powoli, ale przesuwają się, są wreszcie w nowym położeniu. Myśli, pójdziecie tym nowym torem, zabraniam wam wrócić tam, do wody...

— Bill!

— Co?

— Patrz, tam — wygląda jak samochód...

— Tak.

— Może w chłodnicy...

Biegną. Nie, to nie jest bieg. Skąd w tych będących u kresu wyczerpania mężczyznach tyle sił? Pędzą, potykają się, przewracają, podnoszą i znów pędzą.

Tak, to samochód. Niejeden HAMSIN musiał przejść od czasu, jak tę ciężarówkę tu porzucono — kto wie dla jakiego powodu? — ślady są zupełnie zawiane.

Drżące, niecierpliwe palce odkręcają zamknięcie wlewu chłodnicy.

— Sucha.

— Może na dnie...

Pod siedzeniem znajdują klucze.

— Czekaj, a do czego?

— Tu jest bańka.

— Po oleju. Trzeba ją rozciąć i wyszorować piaskiem.

Korek spustowy jest zapieczony. Klucz ześlizguje się. Raz, drugi... Ale teraz korek drgnął, tak, puścił naprawdę... prędzej, prędzej przekonać się, czy jest choć kropla... wolniej, wolniej, ostrożnie, nie uronić ani kropli!

Na gwincie pokazuje się ślad wilgoci. Jest! Teraz tylko ostrożnie, na miłość boską! Bill! Musimy przygotować drugą połowę bańki, może będzie więcej!

Woda tryska cienką strużką.

— Patrz, teraz płynie zupełnie czysta!

Drugi mężczyzna nie odwraca głowy. Po jego twarzy płyną łzy.

Gdy słońce zachodzi gaszą mały ogień, który rozpalili z suchych krzewów pustynnych. Na samochodzie znaleźli parę konserw, wody było sporo. Gdybyż mieli więcej manierek! Mają tylko dwie, obie są teraz pełne, resztę wody wypili co do kropli.

— Widzisz, Bill, powiedziałem sobie: muszę, za wszelką cenę muszę wrócić do żony i syna. To daje siłę. Zobaczysz trafimy na jakichś Arabów, oni odstawią nas bezpiecznie, to wszystko jest zorganizowane. Uszy do góry!

— Ja nie mam do kogo wracać. Ale chcę żyć! Masz rację, musimy trafić na jakichś Arabów. Ruszamy?

— Ruszamy!

Gdy przeszli paręset metrów, zgodnym ruchem odwracają się, by ogarnąć spojrzeniem samochód do połowy zawiany piaskiem. Coś jakby wstyd, że zostawiają go tutaj, kiedy on dał im życie — wodę i żywność. Więź może łączyć człowieka nie tylko z człowiekiem i zwierzęciem. Również i z maszyną.

— Bill, a twój rewolwer?

— Rzeczywiście, zapomniałem go przy wozie. Niech zostanie. Będzie mi lżej iść — to taka armata. Wystarczy nam twój.

— Bzdury. Jesteśmy żołnierzami tak długo, jak długo mamy broń. Zostań, przyniosę go.

— Peter...

— Tak?

— Nie idź. A zresztą...

Między cieniami dwu mężczyzn przemyka się trzeci cień. Cień sępa, który het, w górze, krąży nad nimi. Nie widzą go. Patrzą na siebie.

— Zaraz wracam. Dziwny jakiś jesteś. Weźże się w garść! Mamy wody na trzy dni co najmniej.

— Nie podoba mi się słońce.

Gdy Peter z rewolwerem w ręku wraca od samochodu, pierwsze podmuchy wiatru pustynnego liżą im twarze swym gorącym oddechem.

— HAMSIN!

* * *

Ostrzeliwanie szwadronu trwa aż do zachodu słońca. Wreszcie jednak samoloty odlatują na dobre. Major Popski wraca do majora Easonsmitha i razem dokonują przeglądu sytuacji. Lekarzowi udało się załadować wszystkich rannych na samochód i ukryć go w głębokim wadii o trzy kilometry na południe. Rannych jest ogółem sześciu. Poza półciężarówką lekarza ocalały tylko dwa jeepy, pozostałe wozy spaliły się. Jest jeszcze półciężarówka ukryta przez majora Popskiego w wadii — major Easonsmith nie wiedział o niej. Razem cztery samochody. Zapasów jest dość — benzyna, woda, żywność zakopane przezornie gdy samoloty rozpoczęły ostrzeliwanie. Stan szwadronu — 33 ludzi. Podróż powrotna do Oazy Kufra, odległej o ponad tysiąc kilometrów, nie przedstawia specjalnego problemu.

Słońce chowa się za widnokręgiem. Odkopują zapasy, ładują je na ocalałe samochody. Szybko zapada zmrok, zaraz zrobi się ciemno. Ukazuje się ciężki, trzysilnikowy samolot transportowy. Nikt się tym nie przejmuje — transportowce z reguły nie obserwują ziemi, cała ich uwaga skierowana jest na wypatrywanie nieprzyjacielskich myśliwców. Toteż dwie serie z karabinów maszynowych, które samolot posyła szwadronowi, są zupełną niespodzianką. Ogień jest wyjątkowo celny. Półciężarówka zaczyna się palić. Samolot oddala się. Udaje się uratować tylko część zapasów, reszta idzie z dymem. Potem stwierdzają, że trafiony został również jeden z jeepów — duża dziura w zbiorniku paliwa i rozcięta pociskiem opona.

Major Easonsmith zbiera szwadron w gęstym lasku na szczycie wzgórza i orientuje swoich ludzi w sytuacji. Jest ich trzydziestu trzech, w tym sześciu rannych — dwóch ciężko: Nick Wilder ma obie nogi przestrzelone i ranę głowy, Parker przestrzelony brzuch. Pozostały im dwa samochody w dobrym stanie — jeden Chevrolet i jeden jeep. Mają zapasy benzyny i wody wystarczające na przebycie trzystu kilometrów, nieco żywności. Nie mają radia ani opon zapasowych.

D.c.n.

DWA KOŚCIOŁY NIE SPRZYJAJĄ CUDOM

DOKOŃCZENIE ze str. 1

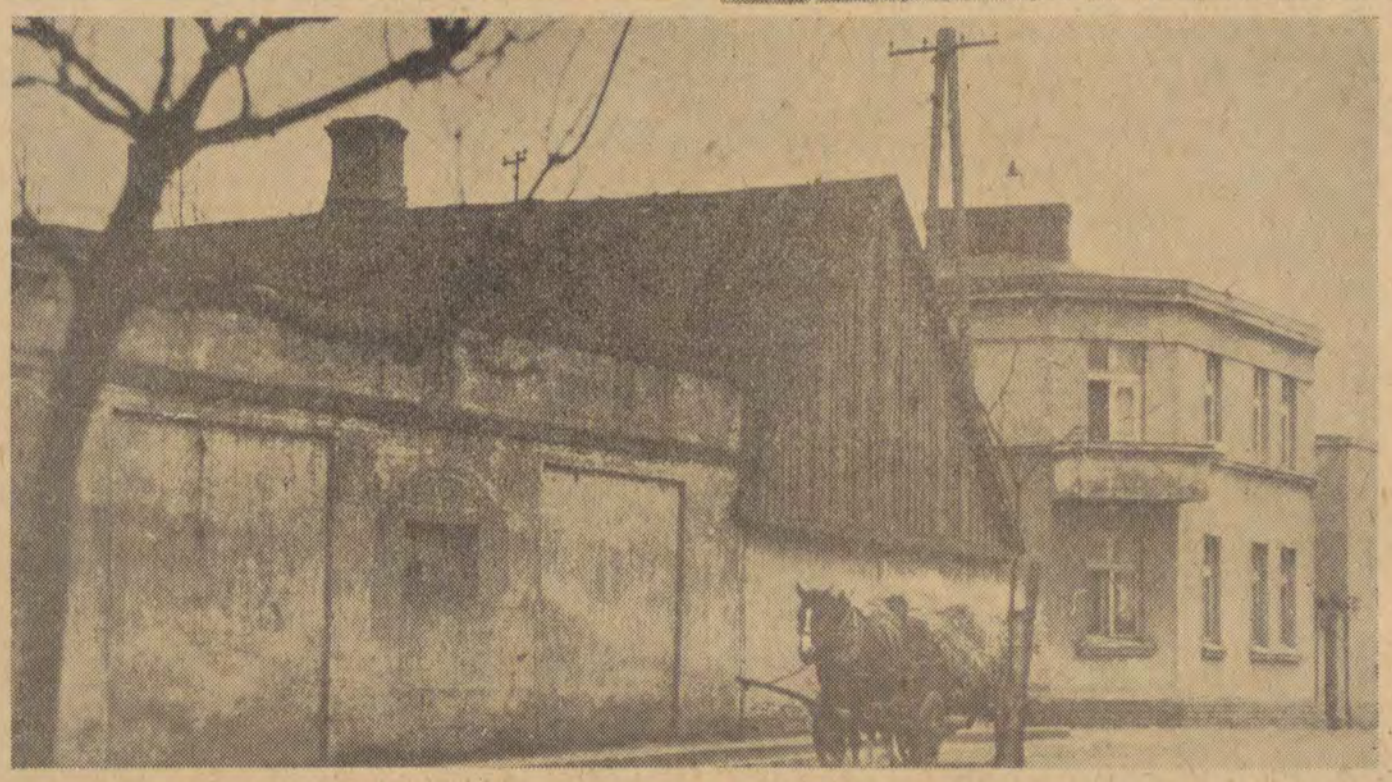

padków jest dużo, ksiądz jest spowiednikiem. Ksiądz też po prostu czasem czuje od dziesięcioletnich chłopców wódkę — uczy w szkole religii.

Ludzie w Warcie — twierdzą wszyscy — od dzieci do dorosłych są źli.

Czy rzeka, niosąca chemikalia z sieradzkich gorzelni systematycznie zatruwa nimi mieszkańców Warty podobnie jak ryby? A może nad miasteczkiem ciąży jakieś fatum? Nie podejrzewam mieszkańców Warty o uleganie ogólnoludzkiemu pesymizmowi, groźbie atomu, miazmatom niewłaściwie pojętego egzystencjalizmu. Niewątpliwie istnieją tu jakieś lokalne przyczyny.

* * *

Życie mieszkańców Warty obraca się wokół szpitala psychiatrycznego, który zatrudnia potężną część zdolnych do pracy (400) ludzi, dwóch kościołów: fary i klasztoru o. o. Bernardynów, wokół knajpy i kina wyświetlającego film trzy razy w tygodniu.

Jeżeli zainteresować się sytuacją gospodarczą wartan okaże się, że nie jest ona najlepsza. Wielu ludzi musi jeździć do pracy do pobliskiego Sieradza. Zarobki pracujących na miejscu są niskie. Inna rzecz — skąd ludzie mają pieniądze na tyle wódki? Ponieważ to pytanie można zadawać w całym kraju, nie godzi się zbytnio go eksponować.

Sprawa ożywienia gospodarczego Warty wydaje się być nieskomplikowana. Wystarczy, że ojcowie miasta serio myślą o rozbudowie przemysłu terenowego. Oto założenia: rzemiosło, wikliniarstwo, żwirownia.

Trudniej z sytuacją mieszkaniową. Chociaż w czasie wojny Warta niezbyt mocno, jeżeli chodzi o domy, ucierpiała, a straciła blisko połowę mieszkańców, to jednak niewielu jest zadowolonych z warunków w jakich mieszka. Wymagania się zwiększyły. Niewiele pomoże jeden blok, którego budowę się już kończy, ani drugi, którego budowę chwilowo przerwano, ale na pewno skończy się w najbliższym czasie.

* * *

Drobny epizod: Umarła w Warcie pewna staruszka. Życzyła sobie przed śmiercią, aby ją pochowali ojcowie Bernardyni. Zwykłe ludzkie sympatie.

Nie znam prawa kościelnego. A zwykli ludzie, opowiadając, nie bawią się w szczegóły w stosunku do obcych. Tym bardziej że sprawa dla wierzących dość delikatna, mówiono o niej oględnie. W każdym razie proboszcz miał wystąpić z zastrzeżeniem: staruszka była jego parafianką. Z kolei o. o. Bernardyni zaczęli bronić ostatniej woli zmarłej.

Chodziło po prostu o pieniądze należące się za pogrzeb. Doszło ponoć nawet do otwartej kłótni, i to przed kościołem.

„Niby jestem dobrze sytuowany, a porządnych butów z cholewami nie mogę sobie kupić" — żalił się proboszcz zresztą z innej okazji.

Konkurencja między dwoma kościołami zapewne korzystnie wpływa na jakość odprawianych mszy i kazań, ale jak wpływa na ludność miasteczka?

* * *

Około 400 mieszkańców miasteczka pracuje w zakładzie psychiatrycznym: przeważnie pielęgniarze, pracownicy administracyjni. Niemal w każdej rodzinie znajdzie się pracownik szpitala. Ludzie bez wykształcenia. Cienka warstewka kultury na użytek prowincjonalny. Codzienny kontakt z niepoczytalnymi. Kontakt wymagający wiele cierpliwości, pedagogicznej wyrozumiałości. Jeżeli tego brak — nie trudno o przejawy złego traktowania chorych. Być może, w pewnych osobnikach wyzwalają się najgorsze instynkty.

Jeżeli jednak coś takiego się zdarza, to chyba bardzo rzadko. Niewątpliwie jednak pewne nawyki nabyte w szpitalu przenoszone są na stosunki domowe, głównie na stosunek do dzieci.

Tworzy się coś w rodzaju reakcji łańcuchowej. Dzieci idą do szkoły. Wystarczy, że już kilkoro z nich ani myśli reagować na zwykłe upomnienia. Potrafią doprowadzić nauczyciela do ostateczności.

Walor wychowawczy szkoły upada, jeżeli nauczyciel musi użyć siły fizycznej dla utrzymania swych uczniów na lekcjach w granicach przyzwoitości.

Nauczyciele pracują w takich warunkach od kilkunastu lat. Niewielu wśród nich (a mogliby odliczyć do szesnastu) — jest młodych. Są zmęczeni.

* * *

Właściwie, to chciałem rozmawiać z dyrektorem szpitala. Jednak nie było akurat ani dyrektora, ani zastępcy. Przypomniałem sobie, że ktoś mówił o inżynierze W., człowieku chętnie angażującym się w prace społeczne.

Życzliwy człowiek z drewnianą nogą, zdaje się portier, oświadczył wprawdzie, że inżynier W. skończył już pracę, ale może mi wskazać jego mieszkanie, które się znajduje tutaj, w obrębie zakładu. Faktycznie wprowadził mnie aż do samego przedpokoju.

Szpital zajmuje dość pokaźny, ładnie utrzymany teren. Dużo drzew, latem musi tu być jak w parku.

Inżynier W. mieszka w miarę wygodnie, na pierwszym piętrze. Energetyk. Poza szpitalem — asystent Politechniki Łódzkiej. Jego żona jest lekarzem psychiatrą. Przyjechali do Warty niedawno, po studiach. Kilkoro odchowanych dzieci. Myślą o tym, aby jak najprędzej przenieść się do Łodzi. Dzieci niedługo pójdą do szkoły. Nie chcą żeby uczyły się w Warcie.

Inżynier jest prezesem miejscowego koła PTT-K. Organizuje z trudem, lecz dość często wycieczki do teatrów łódzkich. Jego staraniem, za kilka miesięcy uruchomiona zostanie na rzece przystań kajakowa. Myśli poza tym o otworzeniu małej kawiarenki. Na razie boi się deficytu. Wątpi czy kawiarnia mogłaby liczyć w Warcie na popularność. Ludzie miejscowi są tacy dziwni. Mówisz kilkakrotnie komuś, aby przyszedł naprawić radio — owszem, obiecuje, ale jakoś go później nie widać.

Takich ludzi jak inżynier W. jest w Warcie kilku. Chociaż mieszkają tu z konieczności, i choć trudno im się obyć bez teatru, filmów, wyniki ich pracy społecznej dla miasteczka są widoczne. Niełatwo zrażają się „trudnym terenem", a nawet w pewnych wypadkach nieprzychylnością miejscowych władz.

* * *

W 1955 roku hucznie obchodzono w Warcie jubileusz 700-lecia. Organizowano mnóstwo imprez kulturalnych, sportowych, cieszono się dobrą tradycją.

Miasteczko, dzięki korzystnemu położeniu było niegdyś znakomite, posiadało aż siedem zabytkowych kościołów, istniał w nim związek literatów, w XIX wieku — szkoła dla nauczycieli ludowych. Kończył ją nawet Deczyński („Kordian i Cham"). Dużej sławy miasteczku przysparzały ponadto cotygodniowe targi.

Tuż po pierwszej wojnie światowej pomyślano w Warcie o średniej szkole. Zdołano uruchomić szkołę tzw. realną, która działała przez parę lat w kilku punktach miasta, w zwykłych izbach mieszkalnych. Zabiegania o sfinansowanie specjalnego budynku nie udały się. I zapewne dlatego cenny ośrodek oświaty upadł.

W tej chwili istnieje w Warcie tylko jedna szkoła — podstawowa. Blisko 600 dzieci uczy się w budynku 10- izbowym, odziedziczonym po straży pożarnej. Budynek piętrowy, nawet ładny. Szkoda tylko, że nie może pomieścić swobodnie wszystkich uczących się. W tej samej szkole odbywają się wieczorem lekcje dla pracujących.

Warta ma w tej chwili o połowę mieszkańców mniej niż przed wojną. W wiadomy sposób przyczynili się do tego Niemcy — 55 proc. mieszkańców przed wojną stanowili Żydzi.

Chociaż ludność w miasteczku zmniejszyła się do niecałych 3 tysięcy, to jednak jego mieszkańcy nie stracili nic ze swych ambicji. Miasteczko buduje własnym społecznym kosztem szkołę jedenastoletnią.

Próby założenia komitetu budowy szkoły sięgają 1954 roku, ale tak na dobre komitet istnieje i energicznie pracuje od roku. Wartanie znacznie uprzedzili inicjatywę szkół tysiąclecia.

Średnia szkoła w Warcie jest potrzebna koniecznie. Każdego roku 40 uczniów kończy siódmą klasę. Połowa z nich nie rezygnuje z dalszej nauki. Codziennie specjalny, przeładowany autobus zawozi kilkudziesięciu uczniów do Sieradza. Czternasto, piętnasto, osiemnastoletni. Strata czasu i chyba zdrowia na uciążliwą podróż. Niemal cały dzień poza domem. Jak na ten wiek — nadmiar swobody. Nie wiem czy w takich warunkach młodzi mogą swym uczestnictwem popierać działalność miejscowego Domu Kultury. Nie mogę się o tym dowiedzieć, bo w tym czasie trzon i kierownictwo DK przebywało na jakichś eliminacjach w Łodzi.

Liceum w Warcie pozyska dla miasta młodzież licealną. Chyba wtedy inżynier W. nie będzie się zastanawiał czy zaryzykować wkład pieniędzy PTT-K w klub-kawiarnię.

Liceum w Warcie, to także cenny zastrzyk inteligencji. Konieczni przecież będą nowi nauczyciele — z wyższym wykształceniem. Zwiększy się autorytet szkoły.

Ludność miasteczka i okolic zebrała już około 100 tys. zł. Wojewódzkie Biuro Projektów w Łodzi zobowiązało się wykonać bezpłatnie dokumentację. Przygotowano się do produkcji we własnym zakresie pewnych materiałów budowlanych. Oczekiwano tylko na akceptację Wojewódzkiej Rady Narodowej i na komisję, która zatwierdziłaby plac pod budowę. Powolutku byłoby można zaczynać, zwłaszcza że robocizna nie kosztowałaby nic — w ramach społecznego czynu.

Tymczasem komitet przekazał zebrane pieniądze na ogólnokrajowy fundusz szkół tysiąclecia. Ogólnokrajowy komitet zamierza przeprowadzić budowę szkoły w Warcie dopiero w 1962 roku. Nic dziwnego, że uprzedni entuzjazm mieszkańców ostygł. Wielu twierdzi, że szkoła powstanie prędzej w którymś z sąsiednich, większych miast, lecz nie w Warcie. Nie wiem, czy można liczyć jeszcze na dalsze zainteresowanie mieszkańców, na resztę pieniędzy.

Oczywiście popełniono tu poważny błąd. Zwykły człowiek z miasteczka chętnie dał na budowę szkoły pieniądze, gotów dać jeszcze drogą ograniczenia prywatnych potrzeb. Chciałby jednak widzieć, że za te pieniądze coś się robi w jego miasteczku.

* * *

Siedziałem w knajpie przy śniadaniu, obiedzie, kolacji. Wierzyć nie chciałem, że o tych ludziach przy stolikach i przy bufecie powiedziano tyle złego. W ciągu kilku dni nie widziałem najmniejszej próby „rozróbki". Pić to pili imponująco. Raz po raz ktoś wstawał od stolika i szedł do bufetu po nowe pół litra. Uginające się kolana, ale droga po linii prostej. Absolutna wolność i równość. Każdego dnia można pić ile wlezie. Bez ograniczeń, w soboty i w dni wypłat. Przy sąsiednim stoliku młody milicjant ze zwykłym cywilem. Znajomy z Komendy. Uśmiechamy się do siebie; milicjant filuternie. Wkrótce wychodzą. Nogi chwieją im się jednakowo.

Wreszcie mi nudno. Zaczynam tęsknić za Łodzią. Wolnym krokiem można przeciąć w 10 minut miasteczko wzdłuż, w 5 minut — wszerz. Mieścina diablo mała, a taki nawał problemów. Myślałem, jak sobie z tym w reportażu poradzić. Ostatecznie nie napisałem o wszystkim.

Rozmawiałem z kimś o rybkach, a tu nieoczekiwanie wylazła jeszcze sprawa cudu. O cudzie było kiedyś głośno — trzeba napisać. Zainteresowanych odsyłam do „Głosu Robotniczego" z września.

Dziewczyna cierpiąca na bezwład całego ciała na podłożu nerwowym, pewnego dnia zaczęła normalnie chodzić. Lekarze nie widzieli przedtem możliwości wyleczenia dziewczyny, ale nagłą poprawę wyjaśnili pewnymi procesami psychicznymi: autosugestia itp.

Ludek Warty i okolic z właściwą sobie bystrością zauważył: to cud! Ściągały tłumy, aby ucałować nogi „cudownie uzdrowionej".

Po pewnym czasie „cud" zaczął tracić na wartości.

Do Warty często przyjeżdża pan Y., z pochodzenia wartanin. Uchodzi za dziwaka, kobieciarza i „nadzianego forsą". A że przy tym jest człowiekiem uczynnym, umożliwił dziewczynie podziękowanie Najświętszej Pannie.

Zawiózł ją do Charłupi, później do Częstochowy. W tej uczynności zapachniało coś łóżkiem.

Wprawdzie gospodyni, u której mieszkałem zapewniała, że niechby jej ktoś próbował coś takiego mówić — napluje mu w oczy — „taka porządna dziewczyna..." Ale na temat cudu mówi się teraz na ogół: „Czy ja wiem, może to i nie był cud?..."

TADEUSZ ŻAKOWIECKI.

Prywatne medytacje o plastyce i szeptance

EDWARD ETLER

Tak zwane „życie wystawowe" ma swoje nieoficjalne tło, swój sztafaż. Jest to kawiarniano*) wyszynkowa**) szeptanka, towarzysząca kolejnym karmom plastycznym. O ile jednak pokazy, indywidualne bądź zespołowe — otwierane są z nieodłączną (i wielce niekiedy komiczną) celebracją, przy wstędze, nożyczkach i błysku reporterskiego flesza, tak szeptanka pojawia się kiedy chce, bywa, że poprzedza wystawę, ale najczęściej notuje swe nasilenie z pewnym w stosunku do niej opóźnieniem. Teraz na przykład zamyka właśnie swe podwoje wystawa dwu artystów spod znaku grupy „Piąte Koło" — pp. Henryka Poulaina i Czesława Sadowskiego — a szeptanka bynajmniej nie zamierza cichnąć. Warto więc dla pewnej rozrywki przerelacjonować co nieco z szeptankowych gawęd. O czyr.. się mówi? Albo bądźmy dokładniejsi: Co się wykrzykuje?

Aktor z lalką (olej) — Henri Poulain

Gorgona (technika mieszana) — Henri Poulain

Szeptanka poczęła się od zdziwienia. „Piąte Koło" zmarło ponoć — targane wewnętrznymi sprzecznościami, a tymczasem nic podobnego. Jest „Koło", właśnie to „piąte", i z uporem występuje jako firma, wydaje zgrabne, upstrzone wierszykami katalogi — słowem — egzystuje na przekór ruchliwym antagonistom.

Ale szeptanka wnosi dalsze motywy treściowe. Ma swą wewnętrzną i choć spontaniczną, improwizowaną, ale świetnie zbudowaną dramaturgię. Zahuczało więc w ulu miejscowej plastyki, a wśród brzęczenia da się odróżnić gorycz, że „znowu ci" i znowu „abstrakcjonizm".

Czy abstrakcjonizm? Płótna Sadowskiego występują opatrzone przez klasyfikatorów terminem „abstrakcji niegeometrycznej". Ale Poulain opowiada się za „nadrealizmem", w jego dość tu charakterystycznej — bo interesującej literacko — postaci. Zatrzymajmy się tedy chwilę, by prześledzić strukturę plastyczną tych obrazów od strony ich niewątpliwych urzeczeń. Przychodzi na myśl kawalkada nazwisk, bardzo sobie nawzajem odległych. Mikulski występuje obok Nowosielskiego, Barbary Jonscher i Wacława Kondka. Zestawienie co najmniej interesujące.

Kazimierz Mikulski — to w obrazach Poulaina owe smukłoszyje panie, w wysoko umieszczonych okienkach, i może jeszcze cała metaforyka księżycowa. Barbara Jonscher — to „Don Kichot" i materia malarska, a Kondek — to na odmianę dowcip: oczy w biuście i inne nieoczekiwane skojarzenia, utrzymane w klimacie erotycznej groteski. Faktem jest, że Poulain stopił to wszystko w jednym tyglu, przybrał odpowiednio, przyprawił, i uzyskał efekt o intrygujących walorach plastycznych. Odbyło się to z udziałem wymienionych wyżej związków — dalszych i bliższych pokrewieństw — ale bez zapożyczeń. W tym rozróżnieniu kryje się spora część wartości Poulainowskiej sztuki.

Pozostał jednak do omówienia wpływ malarstwa Nowosielskiego. Najbardziej widoczny, jedyny pośród innych związek niejako manifestacyjny — programowy. O nim najgłośniej w szeptance, choć związek ten mniej jest rzeczywisty niż pozorny. Poulain wykorzystuje niektóre elementy graficzne obrazów Nowosielskiego; coś z ich stroju zewnętrznego — ramki, sposób zabudowy pałszczyzny, a nawet owe pomniejszone obrazki, które Nowosielski wyprowadził z ikon, a którymi Poulain ozdobił jedną ze swych najładniejszych kompozycji. Ale rzekło się —mimo wszystko—że jest to związek pozorny. Dlaczego? Zagadka tkwi w zjawisku wręcz imponującym — ale zarazem prostym. Poulain potrafił obronić swą samodzielność twórczą przed wpływem niezwykle przecież silnej indywidualności artystycznej Nowosielskiego. Poulain — zafascynowany płótnami Nowosielskiego w sposob najbardziej oczywisty i zresztą zrozumiały— wziął z nich jedynie powierzchniowe, nieistotne w gruncie rzeczy elementy. Tuzinkowi wietrzyciele sensacji i ograniczeni nosiciele szeptanki — nigdy nie zdołają tej subtelności pojąć.

Kompozycja (olej) — Czesław Sadowski

Płótnom Poulaina nadaje wysoką rangę nie sposób malarski — ale niepowtarzalne, pełne osobliwego uroku i konsekwentne wreszcie piętrzenie elementów wyobraźni. Jest to malarstwo błyskotliwe, może zbyt deklaratywne miejscami i kłaniające się dekoracyjności — ale zamknięte w granicach rozsądnego kompromisu. W każdym razie płótna Poulaina stanowią o ciekawostce. Oto poczciwy nadrealizm objawił się w postaci niepokojąco młodej i aktualnej... Przypuszczam, że dalsze obrazy artysty dadzą wyraźniejsze rozwiązanie tej zagadki.

W odróżnieniu od prac Poulaina — druga kolekcja —obrazy Sadowskiego, daje mniej pretekstów dla komentarza sprawozdawcy. Sadowski ilustruje tezę, która jest wiadoma: mamy w Łodzi silną grupę „abstrakcjonistów niegeometrycznych", rezygnujących z działalności na polu sztuki przedstawiającej z racji jej wyeksploatowania. Nie wdając się w dyskusję, czy owo wyeksploatowanie wszelakich dóbr i możliwości malarstwa przedstawiającego jest pojęciem rzeczywistym czy względnym, trzeba tu napomknąć o rzeczy leżącej na uboczu podnoszonych kwestii. Myślę o pokojowym, nieobalalnym przez szeptaną akcję współistnieniu wielu kierunków i zainteresowań naszej współczesnej sztuki. Przydałby się jeszcze łut działalności popularyzatorskiej i w tym celu krąg przyjaciół obrazów stać się musi aktywniejszy i szerszy.

*) Na całym świecie.
**) Najczęściej w Łodzi.

„LUDZIE, KTÓRZY SĄ" — MÓWIĄC SŁOWAMI AUTORA PONIŻSZEGO DOKUMENTALNEGO REPORTAŻU — OBCHODZILI W OSTATNICH DNIACH MIĘDZYNARODOWY TYDZIEŃ SOLIDARNOŚCI RUCHU OPORU. MINĄŁ TEN TYDZIEŃ, LECZ NIE MINĘŁY I OBY NIE MINĘŁY JEGO TREŚCI.

Na szlaku

KAROL BADZIAK

Sinym łukiem szosy smkną tajemnicze samochody. Pierwszy... drugi... dziesiąty... trzynasty i ostatni. Dziwna i niesamowita to ekipa. Przeczesała zachodnie połacie kraju od Szczecina po Wrocław, a dziś z Częstochowy jedzie do Radomska. Stąd część uda się w kierunku Piotrkowa, Łodzi i Kutna, a reszta na Włoszczowę, Pinczów i Pacanów. Pacanów istnieje rzeczywiście.

Po kilku tygodniach wszyscy spotkają się w Sandomierzu.

Ja doszlusowałem w Częstochowie. Miałem cholernego pecha. Akurat szpetnie trafiłem na okres morki. Morka taka trwała zwykle 2—4 dni. Wtedy o żadnej pracy nie mogło być mowy. W dzień pili robotnicy, a nocą szoferzy.

Uprzedzano mnie, ale rzeczywistość prześcignęła moje wyobrażenia. Przez trzy dni zwiedzaliśmy wszystkie

gospody ludowe w Kieleckiem. Nie mogłem się doczekać chwili, kiedy wreszcie zobaczę ich trzeźwych i przy pracy.

W ten sposób zaczęła się moja jedyna w swoim rodzaju podróż po Polsce. Zatraciłem rachubę czasu i przestrzeni. Liczniki samochodów wybijały kilometry: 20.000... 25.000..., 30.000... Zmieniały się barwy pól i łąk, szosa uciekała spod kół samochodów, robiło się coraz chłodniej. Towarzyszyła nam jakaś trująca atmosfera, determinująca wiarę w jakąkolwiek formę egzystencji. Przesiąknięci byliśmy słodkim zapachem człowieka. Zapachem, który się pamięta. Poznaliśmy wszystkie cmentarze i mogiły w tym kraju.

Pewnego razu w drodze do Zakopanego zatrzymałem wozy ażeby zwrócić uwagę na piękno gór. Byli zażenowani i zdziwieni. — Chętniej obejrzelibyśmy jakąś zbiorówkę — powiedzieli mi potem.

Jak widać, były to natury prymitywne i niespomplikowane. Jako egzemplarze jednego gatunku świetnie się uzupełniali.

Lękałem się tylko Zygmunta P. Miał złe, przekrwione oczy i był dla mnie zbyt uczynny. Najbardziej lubiłem fryzjera Janka W. Zawodu swego wyuczył się w kostnicy szpitalnej. Marzył o otwarciu własnego zakładu fryzjerskiego i goleniu żywych gości. Przypominał gąbkę. Potrafił trzykrotnie upić w ciągu jednego dnia.

Najstarszym był łysy jak kolano Pięta. Zwykle mówił „jak hłowa jest to nóh nie ma, a jak nohi są to hłowy nie ma". Gdy mu kazałem poszukać to i „nohi" i „hłowa" się znalazły. Analfabeta, ale podpis miał jak dyrektor banku narodowego. Na trzeźwo upokarzająco uniżony, po pijanemu niebezpieczny zawadiaka.

Michał wyróżniał się inteligencją i znajomością kawałów o wiejskich księżach, babach i chłopach. Spotkałem go później pod CeDeTem w Warszawie. Oferował mi aparat fotograficzny po podejrzanie niskiej cenie. „Zapracował" go na linii Warszawa—Lublin.

Bogatą przeszłością chlubił się „Nadwiślański Kozak". Służył w armii Andersa, później w kompaniach wartowniczych. Po powrocie do kraju był wykidajłą w jednym z nocnych lokali stolicy. Obecnie na rogu Wareckiej i Nowego Światu handluje owocami. Mniemam, że należy do areopagu warszawskiego świata przestępczego. Dowcip miał ponury jak profesję. W upalny, letni dzień pewna gospodyni ze wsi Czarnca (ongiś siedziby Stefana Czarnieckiego) poczęstowała go mlekiem. W dowód wdzięczności przyniósł jej do zagrody trumnę. Pozostali w różnych wariantach byli do siebie schematycznie podobni.

Osobną stronę rozdziału stanowili szoferzy wojskowi w służbie czynnej. Idealnie obojętni, liczyli dni, dzielące ich od powrotu do cywila.

Byłoby nietaktem z mej strony, gdybym nie przedstawił mojego szofera. Jasio Grajek, najlepszy szofer w tym kraju, nie używa hamulców na zakrętach i nie zje śniadania dopóki nie sprawdzi „gotowości bojowej maszyny". Posądzam go, że już jako sześciomiesięczny embrion znał na pamięć wszystkie znaki drogowe. Poza tym straszny pechowiec. Często rumieniłem się za niego w aptece.

Wszystkich łączyła z sobą niejasna przeszłość i przyszłość. Konflikty między nimi były krótkie, męskie i silne jak uderzenie pięści. Zwabiły ich do tej pracy nieprzeciętne zarobki.

Dysproporcja między dużymi zarobkami a nieskomplikowanymi wymaganiami działa niszcząco. Obserwowałem ten proces na nowoprzybyłych. Człowiek głodny uświadamia sobie najłatwiej określoną wartość pieniędzy w przeliczeniu ich na licz-

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Dymitr Samozwaniec

W najbliższych dniach ukaże się nakładem Wydawnictwa MON nowa powieść Wł. Rymkiewicza pt. „Carewicz na ulicach Krakowa", której treścią są losy domniemanego syna cara Iwana Groźnego i jego żony, wojewodzianki Maryny Mniszchówny, a następnie carowej moskiewskiej. Wyjmujemy fragment z tej interesującej książki:

Rozpostarty na ścianie czerwony sztandar z czarnym orłem dwugłowym w złotym polu niby purpurowy baldachim w sali tronowej nadawał komnacie majestatyczny wygląd.

Pod sztandarem stał wyczekująco bezwąsy młodzieniec o bladej twarzy i rudych włosach.

Pretendent do tronu w krótkim kaftanie z czerwonego jedwabiu ze złotymi szamerowaniami i wysokim bojarskim kołnierzem, wyszywanym złotymi ćmami, podszedł miękkim, jakby skradającym się krokiem do Polaka. — Pazdrawlaju waszmość pana, mego obrońcę! — W zielonkawych oczach czaił się azjatycki uśmieszek, słodki i drapieżny. — Pazdrawlaju! — obu rękami ująwszy mocno Jaranda Lipińskiego za ramiona, potrząsnął nim z wylewną serdecznością.

— Prawdę mówiąc, nie moja to zasługa, lecz giermka — chłodno odżegnał się Jarand Lipiński od przypisywanego mu czynu.

— Byłby ja pewnie już w mogile, gdyby nie waszmość pan. — Moskwicin ujął po przyjacielsku swojego gościa pod rękę. — Trawa by nade mną rosła — wyszczerzył żółte duże zęby.— Zdrada czyha na mnie na każdym kroku — jak gdyby znali się od dawna, zwierzał się, spacerując z Jarandem Lipińskim po komnacie. Niższy o głowę, dosięgał mu do ramienia. — Dybią na moje życie. Borys Godunow rozesłał na Ruś Czerwoną ubijcew.

Jarand Lipiński odniósł wrażenie że Moskwicin zadrżał i przycisnął sie do niego mówiąc wciąż: — Gdym był u ksiecia Jadama Wiśniowieckiego złobiesny Borys obiecywał ksieciu złote góry za wydanie mnie z Brahimia. Tak, mój druh! Złote góry!

Służba wniosła złota konew z winem i pucharki. Wojewoda wyszedł niepostrzeżenie.

Trzymajac oburacz konew Dymitr nalewał wina do pucharków. Ręce miał białe i kształtne. Długie rude rzesy rzucały rdzawy cień na bezkrwiste policzki, pokryte wysypka bladych piegów. Czując na sobie spojrzenie Jaranda Lipińskiego, uśmiechnął sie dziwnie i podał napełnione po brzegi pucharki. — Mnogoletnie zdrowie twoje! Nie! Zdrowie naszej przyjaźni! — upił łyk węgrzyna.

— Ile waszmość masz lat? — zapytał Dymitr. — Jesteśmy pewnie w jednym wieku. Nie taje, że odczuwam dla ciebie przyjaźń. Ocaliłeś mi życie. Ty, mój miły druh! — odstawił pucharek i niespodziewanie pocałował Jaranda Lipińskiego w usta. — Taki zwyczaj u nas, w Moskwie — tłumaczył prostodusznie (a może z chytrą naiwnością) na widok zdziwionej niepomiernie miny Polaka.

Jarand Lipiński kładł to na karb azjatyckiego pochodzenia Dymitra i jego żywiołowej natury.

— Pijmy! — samozwańczy carewicz uśmiechał się przymilnie. — Może sobie nasyłać złobiesny car Borys na mnie zbirów, nic mu to nie pomoże! — zaśmiał się jakoś dziecinnie, ujął znów Jaranda Lipińskiego pod ramię i zaczął oprowadzać po komnacie. — Boża Macież czuwa nade mną. Prawdziwy potomek Rurykowiczów zasiądzie na tronie carów moskiewskich — trawiący Moskwicina niepokój przebijał spod zarozumiałych słów, gniewnych zapewnień. — Borysowi ziemia pali się pod nogami. Bojary czują się uniżonnyje, chociaż sami pogardzają carem za jego tatarskie pochodzenie. Lud szemrze.

Zatrzymał się przy stole, nalał wina do pucharków. — W bogatym niegdyś gosudarstwie panuje od dwóch lat głód. Za czetwiert' żyta przekupnie żądają pięć rubli! — szybkimi łykami wypił wino. — W Moskwie straż miejska zbiera trupy, wywozi za miasto i wrzuca do dołów — obracał w palcach pusty pucharek. — Borys znajet, że prestoł pod nim trzeszczy. Ach, podlec! — tupnął. — Dlatego prześladowania coraz większe! Mierżawiec, zsyła na wygnanie bojarów, mieszczan, chłopów, prostych ludzi! No, niedługo już parszywy koniuch z tatarskim pyskiem — ze złością w głosie, syczał przez zęby — będzie panoszył się na Kremlu! Nietrudno będzie obalić znienawidzonego tyrana. Tylko że tymczasem lud cierpi. O, ty by zapłakał, panie Lipiński, gdyby ja ci o niedoli moskiewskiego ludu zaczął opowiadać! Ty by zapłakał...

Ze stukiem odstawił pucharek. — Czy ty wiesz — opowiadał z uniesieniem — że w niektórych dzielewniach taki głód, że pierogi z trupów, z mięsa ludzkiego robią i w jatkach moskiewskich sprzedają?

Westchnął ciężko. — Sam byłem świadkiem w Moskwie, jak stary człowiek wyrywał na ulicy dziecku chleb z ręki.

Dymitra oczy barwy zielonego szkła, zmąciła mgiełka. — Wtedy jam kość, długo kołysaną w mej dłoni, rzucił. Wtedy jam sobie powiedział, że odbiorę zachwatcziku tron i gosudarstwo! — głos kniazia stwardniał, rysy twarzy zaostrzyły się, wyjrzało z nich jakby drugie oblicze, złe, kosookie. — W moim carstwie nie będzie głodu, ja to sobie przysiągł, i dotrzymam, choćby mi życie przyszło dać! W moim carstwie nie będzie głodu!

Jarand Lipiński zasępił się, potarł frasobliwie palcami czoło.

Kniaź uścisnął mu rękę, zajrzał w oczy. — Ja idę o zakład, że ty myślał o mnie: „wor", nie? — wybuchnął sarkastycznym śmiechem. — Ot i jerunda! Eh, panie Lipiński, gdyby ty wiedział, ile ja wycierpiał przez tamtego Griszkę Otrepiewa! Powiadają, że jest podobny do mnie jak odbicie w zwierciadle. A moje wrogi mówią, że to ja nim jestem. Łgarstwo! Nie wierz temu! Ja wiem, oni chcieliby, żeby i ja był taki, jak tamten zawszony czerniec z czudowskiego monasteru, marna pijaczyna! Chcieliby mnie zadeptać, pomniejszyć, zrównać z tamtą żabą, z tamtą nicością! Durno! Słyszysz, panie Lipiński, oni nie biorą mnie poważnie, uważają za oszusta. Taka moja sud'ba! Och, gdyby ja go dostał w moje ręce, tego Griszę Otrepiewa!

Pogroził niewidzialnemu czerńcowi zaciśniętą mocno pięścią. — Wor! Zabrał mi połowę życia! Teraz jedno rozsiewają bzdurne plotki, że ja — Gisza, a drudzy, że ja — bękart po królu Batorym. Odmawiają mi pochodzenia z rodu pomazańców bożych! Oblewają pomyjami. — Moskwicin krzyknął: — Nie mogę życia całego przeżyć w kałużach pomyj, które mi wylewają pod nogi! Sam już zaczynam wątpić o sobie. Ty również... Czy pojmujesz, kak eto straszno?! Jeżeli nie jestem carewiczem, to jestem niczym!

Napełnił pucharek winem i wychylił jednym haustem.

— Ale przekonają się! — mówił ze złością, chaotycznie. — Lud moskiewski żyje pod knutem. Ja uwolnię mój lud spod knuta. Zmienię tatarskie obyczaje. Obdaruję naród wolnością, przywrócę mu jego dawne swobody!

Blada cera Dymitra zaróżowiła się, marzące spojrzenie zielonkawych oczu zdawało się wybiegać daleko poza teraźniejszość. — Panuje na Południu, we Francji, król wielki i mądry, Henryk Czwarty. Jak on, odzyskam i ja gosudarstwo orężem, ale utrzymam, opierając się, jak on, na miłości moich poddanych. Nie będę oprycznikiem. Nie chcę słyszeć dźwięku kajdan ani kroku niewolników prowadzonych na stracenie. Naród rosyjski jest łagodny i szlachetny, zrozumie mnie, uczynię go wielkim! — rozjaśniła się twarz kniazia. — Ojciec mój zostawił Moskwę drewnianą, ja, da Bóg, zostawię ją białokamienną.

Nalał wina do swego pucharka. — Dlaczego nie wypiłeś? Pijmy! Za drużbę i szczastie naszych narodów! Dlaczego dwa największe słowiańskie narody mają żyć obok siebie w niezgodzie? Ja pogodzę nasze gosudarstwa. Tam, gdzie była odwieczna nienawiść, zapanuje przyjaźń!

Policzkiem dotknął Dymitr pieszczotliwie ramienia Polaka. — Pamiętasz, co mówi akt unii horodelskiej o bojarach [illegible]skich i kniaziach litewskich? Powiada, że jarzmo niewoli, w której do tego czasu zamołani i związani byli, z szyi ich się składa i rozwiązuje — głos Moskwicina zadrgał wzruszeniem. — Polska to pochodnia światła przeciwko wschodnim mrokom. Ja przy waszej pomocy zdejmę moim bojarom jarzmo niewoli z szyi.

Rys. Ibis-Gratkowski

Kilka słów odpowiedzi

W poprzednim numerze „Odgłosów" ukazał się list Liliany Wróblewskiej, nawiązujący do mojego artykułu „Pochwała literatury do czytania" (drukowany również na łamach „Odgłosów"). Wypowiedź p. Wróblewskiej dowodzi niezbicie, że można chodzić do szkoły, a mimo to nie umieć czytać. Na czymże bowiem polega umiejętność czytania? Aby w artykule wyczytać to, co jest, a nie to, czego tam nie ma.

Upominając się o literaturę do czytania, napisałem wyraźnie (stoi to w moim artykule jak byk), że ma ona być „na dobrym poziomie literackim, napisana piękną polszczyzną". Nie można więc, jak czyni to p. Wróblewska, sugerować mi, że staję w obronie „Trędowatej", która — zapewne — stanowi wyśmienitą lekturę dla kucharek. Gdyż „Trędowata" jest: a) na kiepskim poziomie literackim i b) napisana lichą polszczyzną, poniżej wszelkich wymagań.

Natomiast literaturę do czytania stanowią dzieła Sienkiewicza, które — niezależnie od tego, co o nich sądzimy — są owocem szczerozłotego talentu i porządnego rzemiosła literackiego, ponadto (bagatela!) zajmujące i ciekawe.

Ogólnie rzecz biorąc, chodziło mi o dobrą tzw. literaturę średnią, której u nas jest właśnie za mało, a nie o tichotę, mnożącą się w nadmiernej ilości. Literatura taka w żadnym wypadku nie oznacza rezygnacji z wartości u...ysłowych, o czym świadczy wiele tego rodzaju utworów na Zachodzie, zwłaszcza we Francji, gdzie autorzy potrafią ożenić komunikatywność i atrakcyjność fabuły z poziomem i ambicjami intelektualnymi.

Sądzę, że to jasne.

W dalszej części listu autorka pisze rzeczy, za które nie mogę ponosić żadnej odpowiedzialności. M. in. przypisuje ona Machejkowi autorstwo powieści „Wyprzedaż samotności". Otóż powieść tę napisał Wilhelm Szewczyk. Postawienie w jednym rzędzie „Wyprzedaży samotności" i „Ulicy Bliskiej" Gordona, może być tylko wynikiem igraszki albo całkowitej dezorientacji. Wolę przyjąć, aby nie robić przykrości p. Wróblewskiej, że są to po prostu igraszki wesołej czytelniczki.

JAN KOPROWSKI

śmierci

bę obiadów, pijak przelicza je na ilość ćwiartek, rozpustnik jeszcze inaczej będzie przeliczał. W obserwowanych przeze mnie przypadkach podobne uproszczone przeliczenia realizowały się faktycznie.

Nocami budziły mnie przerażone okrzyki. Sny miewali koszmarne. W snach regenerowała się stępiona wrażliwość. Gdy pobyliśmy w jakimś małym miasteczku dłużej niż jeden dzień, dzieci ciskały w nasze wozy kamieniami i wołały: „kościotruupy jadą"!

Indagowani przez ciekawskich odpowiadaliśmy różnie. Chłopom mówiliśmy, że robimy pomiary gruntów, a chłopkom, że poszukujemy meteorów, młodym dziewczętom, że rozminowujemy zagrożony teren, a księdzu, jadącemu z nami na „łebka" powiedziałem kiedyś, że zajmujemy się ludźmi, którzy byli. I tak było istotnie.

Notatki moje pęczniały od zapisków, a smutnym opowieściom nie było końca. Nad otwartymi mogiłami pamięć ludzka przywoływała obrazy tamtych dni i niewesołych wspomnień. Czasem były to tylko suche liczby, daty i fakty, innym razem długie beletryzowane relacje.

Krążą wśród ludu wspomnienia minionej wojny, legendy o bohaterstwie chłopców z lasów, o tchórzostwie szpicli, o godności skazanych na śmierć, odwadze, dzielności i poświęceniu, okrucieństwie i barbarzyństwie najeźdźcy.

Wielkie masowe zbrodnie znane są wszystkim. Odkryte, opisane trwają w historii narodu. Mój ślad podróży wytyczały zbrodnie mniejszego kalibru w sensie ilościowym, ponieważ stopniem okrucieństwa przewyższały niejednokrotnie masowe katownie. Ale czyż istnieją zbrodnie mniej ważne i więcej ważne?

I tak na przykład w Rozwadowie przy likwidacji obozu dla internowanych, kiedy oprawcom zabrakło amunicji, zarąbywali ludzi siekierami.

W Birczy (Bieszczady) dwóch esesmanów w ciągu dwóch godzin rozstrzeliło około 500 Żydów. Z transzei, która stała się ich mogiłą, ślady prowadziły w kierunku lasu. Należy przypuszczać ucieczki z grobu.

W Tarnowatce (woj. lubelskie) wymordowano całą wieś. Najmłodszy mieszkaniec liczył 6 miesięcy, najstarszy 69 lat. Strzelano do starców śpiących na piecach i do dzieci w kołyskach. To nie przenośnia, to autentyczne fakty.

A ile spotkałem w Polsce wiosek, gdzie żyją tylko same kobiety, gdyż mężczyzn rozstrzelano w czasie okupacji.

Opowieść o czterech partyzantach Armii Ludowej, którzy zginęli z rąk Bohunowych bandytów. Jeden miał 15 lat, drugi 16, dwaj pozostali byli o kilka lat starsi. Pracowali w tartaku. Wszystkie kobiety Raszkowa błagały na kolanach samego Bohuna, ażeby darował życie tym dzieciom. Nie, nie darował. Faszyzm niesie śmierć bez względu na to, skąd się wywodzi i czym firmuje.

Jednak nie zawsze „moja encyklopedia śmierci" notowała klęski. Opowiedziano mi, jak pewien skazaniec kopiąc dla siebie grób rzucił piaskiem w oczy pilnującym go dwóm żandarmom i zanim ci przetarli powieki — zdążył zbiec. Żandarmi zaś w obawie przed karą, jaka ich czekała, usypali w tym miejscu mogiłę i zameldowali o wykonaniu wyroku. Dziś odwiedza on często to miejsce.

Rozmawiałem z człowiekiem, który „zmartwychwstał". Z przestrzeloną ręką lekko tylko przysypanego ziemią, po odejściu Niemców z miejsca egzekucji przyjaciele odgrzebali i zdołali przywrócić życiu.

Oczywiście były to wypadki sporadyczne, albo raczej symboliczne. Życie, które wymknęło się kulom i którego nie zniszczyła ziemia.

Ekipa, której towarzyszyłem, miała wszędzie pełne ręce roboty. Przeniosła na

cmentarze 20 tys. ludzkich prochów, ofiar minionej wojny.

Ekshumacja (bo o tej cały czas mowa) obejmowała wszystkie mogiły rozsiane po lasach, łąkach i polach całego kraju. Ekshumowano żołnierzy Armii Polskiej z 1939 roku; żołnierzy Wojska Polskiego z lat 1944—46 i żołnierzy Armii Czerwonej oraz ofiary terroru hitlerowskiego (Polaków, Żydów, Cyganów i innych).

Akcja ekshumacyjna zorganizowana została z okazji 15-lecia Wojska Polskiego przez Zarząd Główny PCK, Ministerstwo Obrony Narodowej i Ministerstwo Gospodarki Komunalnej.

Pewnym curiosum była forma wynagradzania robotników za ich ciężką i co tu dużo mówić nieprzyjemną pracę. Robotnicy pracowali na akord i otrzymywali po 22 zł od czaszki, tutaj bez cudzysłowu. Tylko dzięki dużym wysiłkom i wysokiej etyce kierownictwa ekipy, ekshumacja nie przekształciła się w profanację i pogoń za zarobkiem.

Mimo to, nie zakończę tego wspomnienia uwagą, ażeby w przyszłości i tak dalej...

W przyszłości — gdyby ewentualnie — to nie będzie miał kto i co.

MAREK KONOPKA

Murzyni w USA

Wielki murzyński uczony, George Waszyngton Carver w rozmowie z Henry Fordem. Carver urodził się niewolnikiem, rodziców nie znał, był samoukiem, podobnie jak i Ford.

Kilka miesięcy temu wpadł mi w ręce numer „Przekroju" a w nim artykuł — zdaje się redakcyjny — w którym strasznie wydziwiano nad wielkim magazynem murzyńskim „Ebony". Według „Przekroju" magazyn jest hm... niczego, ale, proszę państwa, te szokujące zdjęcia białych kobiet na ogłoszeniach. „Przekrój" wysnuł z tego jednego egzemplarza murzyńskiego magazynu niczym nie poparty wniosek, że Murzyni w USA widać o niczym innym nie marzą jak o masowym zamienianiu się w rasę liliowobiałych. W całej tej infantylnej aferze jedyną szokującą rzeczą jest ultranaiwne zachowanie się najpoczytniejszego polskiego tygodnika. Przypomina mi ono ów wykrzyknik gospodyni z Byczyny czy Rąkczyna na rynku w Poddębicach, która na widok pierwszego oddziału niemieckich żołnierzy zawołała: „Gdyby nie Niemce to tak jak ludzie!" Stanowisko prasy europejskiej wylewającej potoki łez nad murzyńską niedolą w USA sprowadza się właśnie do argumentów tego typu: „Gdyby nie Murzyni to tak jak ludzie". A tymczasem rzeczywistość murzyńska jest inna, a w każdym razie złożona. I amerykański człowiek kolorowy — nie nazwę go czarnym, gdyż tylko w 15 proc. może się poszczycić czystą, afrykańską krwią, a pozostałe 85 proc. to mulaci i mieszańcy o różnych stopniach białości — mimo swego upośledzenia i cierpień nie jest wielkim niemową. Obraz amerykańskiego Murzyna, jaki sobie wyobraża Europa, to obraz Murzyna sprzed 40 czy 30 lat. Od tego czasu zmieniło się wiele i sytuacja jest inna. Lepsza, wyraźniejsza, choć — oczywiście — daleka od ideału, zwłaszcza na Południu. Murzyn dzisiejszy o swe prawa nie prosi i potulnie się nie przymila. On o swe prawa woła i to wielkim głosem. Murzyn dzisiejszy nie wstydzi się swego pochodzenia. Jest z niego dumny. Coraz rzadsze są wypadki „uchodzenia za białych" wśród tych mulatów, którzy niczym się właściwie od białego nie różnią, ale których uprzedzenia tego kraju nadal uważają za czarnych. Te „szokujące" zdjęcia, które tak wystraszyły „Przekrój", to zapewne zdjęcia takich właśnie kobiet. Znam mister Johnsona — wydawcę owego magazynu „Ebony" — i mogę was zapewnić, że zdjęcia białej kobiety na pewno by nie zamieścił. Choćby ze względów kupieckich.

A w prasie polskiej warto by zmienić podejście do sprawy murzyńskiej — Murzyn amerykański to, do licha, nie egzotyczny zwierz, którego musi oglądać „w lochach Harlemu" każdy przybyły z Polski dziennikarz. Murzyn to człowiek. Pełny człowiek, ma swoje wady i swoje zalety, ale człowiek, który tak samo lubi to wydziwianie turystów zza morza jak je lubi mieszkaniec Paryża czy Amsterdamu. „Ebony" nie jest bynajmniej jedynym murzyńskim magazynem, w USA jest ich kilka i wszystkie bardzo okazałe. „Sepia", „Jete", „Tam", bardzo wytworny „Duke" i mocno swawolne „Jive" i „Bronze Thirill" — to magazyny mogące poszczycić się półmilionowymi nakładami. Prasa murzyńska w USA jest potężna i stale wzrasta na siłach. Jej zdumiewający rozrost jest przeciwieństwem tego co dzieje się z polską prasą w Ameryce. Murzynów jest w USA 17 milionów, Polaków według różnych obliczeń podobno 6,7, nawet 8 milonów. W porównaniu z prasą murzyńską polskie dzienniki i tygodniki są biedniutkim Kopciuszkiem, który na zawsze stracił nadzieję, że zjawi się jakiś książę z bajki i postawi te różne „Echa", „Głosy" i „Nowe Światy" na jakimś opłacalnym poziomie finansowym, a z redaktorów zerwie wielocalowy porost nawyków i makaronizmów angielszczyzny. Przypuszczam, że w następnych 15 latach prasa polonijna zbankrutuje i zamrze do reszty — przy dobrym szczęściu może nam zostanie jeden lub dwa tygodniki, jak „Gwiazda Polarna" — dziś najlepsze polonijne czasopismo.

O ile prasa murzyńska może się poszczycić ogromnymi nakładami, żadne z polskich pism nie posiada nakładu większego niż 50 tys. egzemplarzy, a większość ma nakład dużo mniejszy niż 5 tys. Polonia nigdy, nawet będąc u szczytu swej żywotności i siły, nie miała magazynu na miarę murzyńskiej „Sepii" czy „Ebony". Dziś na wspomnienia o tym jest za późno. Cóż mówić o planach? Z zazdrością tylko człowiek parający się piórem na jałowym polonijnym zagonie mówić może o sukcesach mniejszości murzyńskiej. Ich dzienniki są coraz lepsze, ich tygodniki polityczne jak „New Amsterdam News" czy „Pittsburgh Courrier" są coraz bardziej wpływowe, coraz bardziej respektowane przez białą część Ameryki. Na wypowiedzi prasy polonijnej nikt już, niestety, nie zwraca uwagi, nie dlatego, że to prasa polonijna, lecz jej beznadziejna błazenada znudziłaby chyba i samego Szymona Słupnika — patrona cierpliwości.

Aby pisać o prasie murzyńskiej, trzeba by napisać chyba książkę, materiału jest bowiem dość. Ale nie tylko na polu prasy Murzyni idą coraz szybciej naprzód, zdobywają uznanie i podziw. Poezja murzyńska od lat przyjmowana jest z podziwem przez czytelników Ameryki, nazwiska takie jak Langston, Hughes czy Francis La Farge dotarły nawet do Europy. Murzyńska proza jest wyśmienita i życzyłbym sobie, aby Polonia mogła się pochwalić jeśli nie Richardem Wright to przynajmniej takim Frankiem Yerby, który potrafi pisać lepiej niż poczytny przed wojną Sabatini. Frank Yerby, ongi robotnik w zakładach Forda w Detroit, jest właśnie takim nowoczesnym Sabatinim. Najgorzej chyba jest na polu murzyńskiego udziału w życiu filmowym i teatralnym. Pierwsze murzyńskie poezje — nie mówiąc już o starych „negro spirituals" — sięgają połowy XVIII wieku, pierwsze powieści — początków XIX w., prasa murzyńska wyrosła na tradycjach środowisko murzyńskie złow teatrze i filmie długo pokutował typ Murzyna — postaci błażeńskiej. W latach trzydziestych naszego stulecia najpopularniejszym programem radiowym, taką amerykańską „Wesołą lwowską falą" był „Amos and Andy", który przedstawiał środowiska murzyńskie złożone z głupców, przestępców, kabotynów. Aktorzy, którzy przedstawiali owo życie czarnych Matysiaków w najgorszym świetle, nie byli Murzynami i zrobili na tej hecy miliony. Z piekła oni chyba nigdy nie wyjdą za to wszystko. Wojna przerwała tę błogą radiową sielankę i po wojnie już „Amos and Andy" nie wrócili do programu, choć znaleźli się w telewizji, w murzyńskiej obsadzie i w bardzo zmienionej, promurzyńskiej formie. Latami całymi film i teatr po wzory Murzynów sięgał oczywista do lamusa „Amos and Andy". Ale prawdziwe oblicze murzyńskiej mniejszości nie dostało się na deski teatru, na ekran kina. Dopiero ostatnie kilka lat wraz z napływem młodej inteligencji murzyńskiej przyniosły zmianę i poprawę.

Ostatnia wojna, która zniszczyła Europę, stała się błogosławieństwem amerykańskiego Murzyna. Rząd amerykański zagwarantował każdemu kombatantowi amerykańskiemu możność bezpłatnego wykształcenia i słowa tego skrupulatnie dotrzymał. Ci ze zwolnionych ze służby żołnierzy, którzy mieli żony i dzieci, a chcieli studiować, dostali zapomogę na ich utrzymanie — nie było to zbyt dużo, ale głodu nikt nie cierpiał i boso nie chodził. Murzyni skorzystali z tego uprawnienia w dużo większym procencie niż biali. Murzynom przed wojną było ciężej, w wielu wypadkach odmawiano przyjęcia ich na uczelnie, w wielu wypadkach nie mając pracy, nie mogli myśleć o wykształceniu dzieci. Wojna więc stała się błogosławieństwem murzyńskiej Ameryki, bo dała jej możność korzystania z bezpłatnej nauki i co więcej — dała poczucie równości, a co za tym idzie odwagę żądania równouprawnienia. Murzyni-weterani bitew we Francji i Włoszech, na Guamie, Iwo Ima, Okinawa i Tarawa po ukończeniu studiów stają się przywódcami w walkach sądowych i parlamentarnych o prawo do głosowania i prawo do szkoły. Także szeregi pisarzy i poetów wzbogaciły się przybyszami tej nowej fali. I czy prędzej czy później musiała nastąpić zmiana na polu teatru i filmu. W filmie niedawno ujrzeliśmy pierwszy dobry obraz, w którym Murzyni pokazani są nie jako sfora bydląt i półgłupków, lecz jako ludzie. Film „The defiant ones" („Nieprzejednani") to epos nienawiści, pogardy i rodzącego się zrozumienia tolerancji. Murzyn nie jest tutaj statystą, lecz bohaterem filmu. Jest to jeden z najlepszych filmów amerykańskich ostatnich czasów. Ale i na polu teatru jest lepiej. Langston Hughes, najwybitniejszy murzyński pisarz i poeta, w 1957 roku wystawił sztukę „Simply heavenly". Sztuka nie cieszyła się zbyt wielkim powodzeniem i po kilku tygodniach zniknęła ze scen Brodwayu. Hughes jest zresztą jedynym Murzynem, który przedtem wystawiał swe rzeczy na Brodwayu. Jeszcze w roku 1927 grano jego dramat „Mullato", w roku 1949 „The troubled island". O ile rewolucyjny, gniewny „Mulat" cieszył się pewnym powodzeniem, inne rzeczy Hughesa raczej zawiodły. Z tego chyba powodu, że Hughes jest dużo lepszym poetą niż dramaturgiem. Obok Hughesa w ostatnich latach wybił się na czoło dramatopisarzy murzyńskich Louis Peterson, którego sztuka „Zrób gigantyczny krok" po dość miernym powodzeniu na Brodwayu została zakupiona przez studio Warners Brothers w Hollywood i będzie sfilmowana. Ale ani Langston Hughes ani też Louis Peterson nie mogą się równać miarą talentu z tym, jakim zabłysła nagle młoda pisarka murzyńska Lorraine Hansberry. Lorraine ma dopiero 28 lat i jest już pisarką wielkiej klasy. Jej najnowsza sztuka „Powstając w słońcu" grana była na Brodwayu w teatrze „Ethel Barrymore" — jak to się mówi, „scenie prestiżowej". Sztuka pokazuje życie Murzynów w południowej części miasta Chicago, skąd autorka pochodzi. Nadzieje i rozczarowania, sny i marzenia i klęska, to temat dramatu w którym z napięciem śledzimy rozwijający się szybko wątek akcji. Ojciec rodziny zmarł i pozostało po nim ubezpieczenie w wysokości 10 tys. dolarów. Tej sumy dotyczą plany „powstania w słońcu". Matka chce kupić dom, własny dom w „białej dzielnicy", gdzie będą mieszkać jak ludzie. Córka marzy o studiach, chciałaby zostać lekarzem. Sądzi, że te 10 tysięcy pomoże jej w osiągnięciu celu. Syn rzuca pracę posługacza i chce kupić sobie sklep, gdzie sprzedawałby piwo i wino. Wiele jest planów i gorzkie jest rozczarowanie, gdy kupno domu okazuje się niemożliwością z powodu wrogiego nastawienia nowych sąsiadów, a pieniądze przeznaczone na kupno owego sklepiku znikają wraz z pośrednikiem. To jest koniec marzeń i początek dramatu Lorraine Hansberry, która rozbudowując akcję pokazuje owo powstanie człowieka upokorzonego ku słońcu ludzkiej godności. Bez wątpienia Lorraine Hansberry, zajmie poczesne miejsce wśród dramatopisarzy nie tylko murzyńskich ale i światowych. Jej sztuka jest naprawdę wspaniała. Nie na tym zresztą kończy się triumf murzyński w ostatniej intelektualnej antymurzyńskiej reducie. W przyszłym sezonie na Brodwayu ukażą się dalsze sztuki murzyńskich autorów i podobnie jak „Powstając w słońcu" z murzyńską obsadą. Alidja Chiadress wystawi świetną sztukę „Copra", Bill Gunn wyjdzie z dramatem „Marcus in the lugh grass", George Norford, jeden z pisarzy telewizyjnych wystawi dramat „Say Amen". Murzyni nareszcie przełamali opory amerykańskiego teatru i należy sądzić, że zajmą w nim pozycje wybitne.

Oczywiście, czołówka intelektualna Murzynów łatwiej przebiła sobie drogę do normalnego, pełnoprawnego życia. Szary Murzyn, jeśli wolno tak powiedzieć zwłaszcza na Południu, jest w sytuacji znacznie cięższej. Na Południu wciąż jeszcze pokutują przesądy rasowe.

JERZY WILMAŃSKI

„Pięć lat z hakiem"

Obfita jest u nas literatura „oflagowa". Toteż każdą nową książkę traktującą o jakimś niewielkim skrawku ziemi, okolonym drutami, rozpatrywać można jedynie w kontekście już wydanych pozycji.

Dlatego biorąc do ręki książkę Włodzimierza Krzemińskiego, byłem niezwykle zaciekawiony. Czy autor zaryzykuje wygłup i zgrywę („Niewola na wesoło" Arcta) czy przesadną mitologizację oflagowej tragedii („Oflag" Sadzewicza)? Na szczęście obyło się bez mitologii.

W „Pięciu latach z hakiem" nie ma „bohaterów narodowych" czy kosmicznych cwaniaków, wodzących Niemców za nos. W książce Krzemińskiego są po prostu ludzie. Takie twierdzenie trąci oczywiście na milę banałem. Ale, proszę mi wierzyć. Krzemiński swoim bohaterom nie przypina anielskich skrzydełek. Jeśli byli śmieszni, pisze o śmiesznostkach, jeśli robili świństwa, pisze również o świństwach.

Żaden z dotychczasowych autorów „oflagowych" książek nie podniósł na przykład sprawy wręcz haniebnej postawy części zawodowych oficerów w początkowym okresie niewoli. Chodziło mianowicie o to, iż przeprowadzano wówczas weryfikację stopni podoficerskich w związku z podziałem na oflagi (obozy oficerskie) i stalagi (obozy dla szeregowców). Przydział do stalagu oznaczał praktycznie niewolniczą pracę w niemieckich fabrykach. Sprawa weryfikacji leżała w rękach samych jeńców oficerów. Niestety, „na gwiazdkę trzeba było zasłużyć" — mówili wypucowani, sztywni, wygoleni podporucznicy w lśniących butach. I nie zrobili — sprawiedliwie — wyjątku nawet dla dwu starych, siwych nauczycieli, co podchorążymi byli już w czasie pierwszej wojny światowej".

To na pewno dobrze, że autor nie przemilcza spraw, które były i są bolesne. To dobrze, że obóz jeniecki ukazany jest w możliwie najprawdziwszy sposób, nie jako braterski monolit, lecz jako miejsce spotkania niezwykle zróżnicowanych, czasem wręcz wrogich sobie grup. Wymowna jest na przykład scena sprzedawania za parę kromek chleba wiadra herbaty oficerom kawalerii, którzy potrzebowali jej do... golenia. I właśnie fakt, że Krzemiński o tych wszystkich trudnych sprawach pisze wprost, a jednocześnie bez zbytniej przesady, stanowi największy chyba walor tej książki. Ta książka jest prawdziwa. Czuje to każdy, kto czytał inne pozycje z tego kręgu tematyki. Czuje to czytelnik, który z problemem oflagu zetknął się po raz pierwszy.

A poza tym książka jest ciekawa i naprawdę interesująco napisana. Bardzo, ale to bardzo podobały mi się sceny spotkania przy wspólnej pracy (czy raczej po pracy) jeńców o paroletnim stażu obozowego celibatu z kobietami, będącymi zresztą w podobnej sytuacji. Jakżeż łatwo można było tu popaść w naturalistyczny opis, jak wiele spraw można było zwulgaryzować. Krzemiński rozegrał tę partię znakomicie. Jakaś ogromna delikatność, jakaś mgiełka szczerego sentymentu zadecydowały o głębokim wzruszeniu, z jakim czytelnik czyta te wspomnienia.

Włodzimierz Krzemiński: „Pięć lat z hakiem", Wydawnictwo MON, 1959 r.

Tłum. HELENA NOWICKA

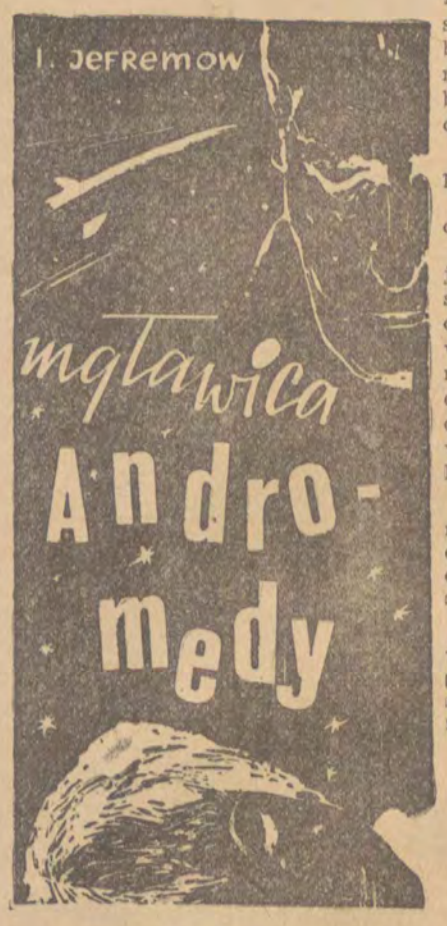

Ziemska rakieta międzyplanetarna, „Tantra" znalazła się w tragicznej sytuacji na skutek braku paliwa. Nagle na drodze swej napotkała Żelazną Gwiazdę, która poczęła przyciągać ją ze straszliwą siłą. Brak paliwa anamezonowego uniemożliwiał wyrwanie się spod władzy Żelaznej Gwiazdy. Astronauci postanowili lądować na jednej z planet Żelaznej Gwiazdy. Podczas przelotu nad planetą zauważyli leżący na jej powierzchni jakiś dziwny przedmiot, przypominający ziemski statek międzyplanetarny, a obok dziwaczny martwy statek w kształcie dysku. Wylądowawszy na planecie astronauci z „Tantry" udali się na zbadanie statku międzyplanetarnego z Ziemi. Był to zaginiony przed wielu laty gwiazdolot „Zagiel". Załoga jego wyginęła w tajemniczych okolicznościach. Na gwiazdolocie znaleziono nagraną taśmę magnetofonową zawierającą ostrzeżenie przed straszliwym niebezpieczeństwem zagrażającym na planecie.

Astronauci postanowili uzupełnić swe zapasy paliwem z wymarłego statku. Przeładunku paliwa dokonują ostrożnie, lękając się ciągle ataku nieznajomego, straszliwego „czegoś", zamieszkującego dziwną planetę.

Tajemnicze „coś" nie zjawiło się. Temperatura powietrza na planecie gwałtownie się obniżała. Począł dąć silny wicher, który wzmagał się z każdą godziną. To zachodziło czarne słońce. Planeta wykonywała obrót, ląd na którym znajdowali się podróżnicy przesuwał się na „nocną" stronę. Dzięki grubej atmosferze ochłodzenie nie było zbyt gwałtowne, mimo to w połowie nocy nastąpił silny mróz. Pracę kontynuowano, włączywszy ogrzewanie skafandrów.

Pierwszą cysternę z paliwem udało się wyjąć z „Żagla" o „świcie". Nagle huragan rozszalał się z nową siłą. Temperatura wzrosła. Fale gęstego powietrza niosły z sobą ogromne ilości wilgoci, błyskawice roztrzaskiwały niebo. Wicher był tak potężny, że wstrząsnął korpusem gwiazdolotu. Ludzie cały swój wysiłek skierowali na umocnienie cysterny. Przerażający ryk huraganu narastał, na piaskowzgórzu tworzyły się niebezpieczne wiry powietrzne. W oświetlonym pasie wyrosła nagle olbrzymia trąba wirującego piasku i śniegu. Pod jej naporem pękły przewody wysokiego napięcia, błysnęły w kilku miejscach błękitne światełka powstających spięć. Żółtawe światło reflektora „Żagla" zgasło jakby zdmuchnięte przez wicher.

Erg Noor wydał rozkaz przerwania prac i powrotu na statek.

— Tam przecież jeszcze został obserwator! — zawołała Bina Led, wskazując na ledwie widoczny ognik wieży.

— Wiem. Tam jest Niza. Już tam wyruszam — odpowiedział kierownik ekspedycji.

—Prąd jest przerwany i owo „coś" może wykorzystać swoją moc — ostrzegał biolog.

— Jeśli huragan tak silnie oddziałuje na nas, to z pewnością paraliżuje również tajemnicze „coś". Jestem przekonany, że dopóki szaleje burza, dopóty niebezpieczeństwa nie ma. A ja jestem tak ciężki, że jeśli będę pełzał, huragan mnie nie zdmuchnie.

— Pozwólcie, że pójdę z wami — podskoczył do Noora biolog.

— Dobrze. Ale tylko wy. Będziecie mi potrzebny.

Dwoje ludzi długo pełzło, czepiając się każdego kamienia, starając się omijać trąby powietrzne. Wicher bezskutecznie próbował oderwać ich od gruntu. Jeden raz udało mu się to, ale Erg chwycił turlającego się Eona, przygniótł go całym ciałem i rękami odzianymi w rękawice z ostrymi pazurami uczepił się krawędzi wielkiego kamienia.

Niza otworzyła drzwiczki wieży i mężczyźni znaleźli się w zacisznym, ciepłym wnętrzu. Wieża stała mocno, zabezpieczona nawet przed najsilniejszą burzą.

Niza gniewała się i cieszyła z powodu przyjścia towarzyszy. Szczerze przyznała, że spędzenie doby sam na sam z burzą na obcej planecie, nie należało do przyjemności.

Erg Noor przekazał na „Tantrę" wiadomość o pomyślnym dotarciu do wieżyczki i reflektor statku zgasł. Teraz w gęstym mroku świecił się tylko słaby ognik wieżyczki. Powierzchnia planety drżała od porywów burzy, błyskawic, szeregu groźnych trąb i wirów. Niza siedziała na obrotowym krześle plecami opierając się o ścianę. Kierownik i biolog usadowili się u jej stóp.

— Proponuję przespać się — zabrzmiał w słuchawkach cichy głos Noora. — Do czarnego świtu jeszcze co najmniej dwanaście godzin. A dopiero wtedy huragan ustanie i ociepli się.

Jego towarzysze chętnie się zgodzili. Przygnieceni potrójnym ciężarem, skurczeni w skafandrach, ściśnięci miedzy aparatami w ciasnej wieżyczce — ludzie poczęli spać — tak wielką zdolność przystosowania się oraz tyle uporu posiada organizm człowieka.

Od czasu do czasu Niza budziła się i przekazywała dyżurnemu na „Tantrę" uspokajające komunikaty. Potem znowu zasypiała. Huragan wyraźnie osłabł, wstrząsy gruntu ustały. Teraz mogło pojawić się owo „coś". Obserwatorzy w wieży zażyli PU — Pigułki Uwagi — aby wzmocnić zmęczony system nerwowy.

— Nie daje mi spokoju ten obcy gwiazdolot — odezwała się nagle Niza. — Tak chciałabym wiedzieć skąd przybył i w jaki sposób tu wylądował.

— Ja również — odpowiedział Noor. — Już od dawna po Wielkim Pierścieniu przekazywane są wiadomości o żelaznych gwiazdach i ich planetach — pułapkach. W bardziej zamieszkałych obszarach Galaktyki, gdzie statki latają częściej, istnieją planety poległych gwiazdolotów. Wiele starych statków przyklejało się do tych planet, dużo wstrząsających historii opowiada się o nich. Stanowią one jądro wszystkich legend i podań o trudach opanowania kosmosu. Być może na tej planecie są jeszcze starsze gwiazdoloty. Chociaż spotkanie trzech statków w tym pustynnym obszarze — to zjawisko zupełnie wyjątkowe. W okolicach naszego Układu Słonecznego nie odkryto dotychczas żadnej Żelaznej Gwiazdy. My spotkaliśmy pierwszą.

— Zamierza pan zbadać ów gwiazdolot o kształcie dysku? — zapytał biolog.

— Oczywiście! Żaden naukowiec nie przepuściłby podobnej okazji! Gwiazdoloty o kształcie dysku nieznane są w sąsiadujących z nami Układach. Jest to przybysz z dalekiej planety. Zapewne po śmierci swej załogi lub wskutek poważnej awarii pędził on już po Galaktyce całe tysiąclecia. Może dzięki materiałom, które w nim znajdziemy, zrozumiałe staną się dla nas niektóre komunikaty krążące po Pierścieniu? Posiada on dziwny kształt. Spirala w formie dysku. Natychmiast po rozładowaniu „Żagla" zajmiemy się dyskiem. Na razie nie wolno nikogo odciągać od przeładunku.

— Ale zbadanie „Żagla" zajęło nam zaledwie kilka godzin.

— Oglądałem ten obcy statek przez stereoteleskop. Jest on na głucho zamknięty, nigdzie nie widać żadnego otworu. Przedostanie się do wnętrza gwiazdolotu, który z natury rzeczy zabezpieczony jest przed działaniem żywiołów znacznie potężniejszych od żywiołów ziemskich, jest zadaniem niezwykle trudnym. Spróbujcie przeniknąć do zamkniętej „Tantry"! Przebicie wszystkich jej pancerzy metalowych i obudowań krystalicznych wymaga wysiłku jak zdobywanie potężnej twierdzy.

A sprawę utrudnia jeszcze fakt, że ów statek jest nam zupełnie obcy, o nieznanej dla nas zasadzie działania.

— A kiedy przejrzymy materiał znaleziony na „Żaglu"? — zapytała Niza. — Tam powinny być niezwykle ciekawe obserwacje tych wspaniałych światów, o których mówi ich ostatni komunikat wysłany na Ziemię.

W telefonie rozległ się śmiech Noora:

— Ja sam, marzący od dziecka o Wedze, płonę z niecierpliwości. Ale na to zostanie jeszcze dużo czasu w drodze powrotnej do domu. Najważniejsze, to wyrwać się z tej ciemnicy. — z dna piekieł — jak mówili w starożytności. Ekspedycja „Żagla" nigdzie nie lądowała, gdyż nic nie znaleźliśmy w ich składach kolekcjonerskich. Przypomnijcie sobie, że zastaliśmy tylko filmy, zdjęcia, notatki, analizy powietrza oraz butle z pyłem wybuchowym...

Erg Noor zamilkł i począł nasłuchiwać. Nawet czułe mikrofony nie wyławiały już szumu wichury. Burza minęła. Z zewnątrz, spod kamienistego gruntu, dał się słyszeć jakiś zgrzytający szmer, który udzielił się także ściankom wieżyczki.

Kierownik ruszył ręką. Niza zrozumiała go bez słów i wyłączyła światło. Mrok, który ich ogarnął, wydawał się gęsty i nieprzeniknięty, jakby osadzeni zostali na dnie oceanu. Poprzez przeźroczystą kopułę wieży zamigotały światełka brązowych ogników. Zapalając się wyglądały one jak maleńkie gwiazdki z ciemnoczerwonymi lub ciemnozielonymi promieniami, potem gasły i znów się pojawiały. Wyciągały się w łańcuszki, które wyginając się i skręcając tworzyły pierścienie i ósemki, bezskutecznie ślizgały się po twardej jak diament powierzchni kopuły. Ludzie w wieżyczce poczuli nagle dziwne kłucie w oczach i ostry przenikliwy ból we wszystkich centrach nerwowych ciała, jakby krótkie promienie brązowych gwiazdek igłami przenikały do nerwów.

— Niza — szepnął Erg Noor — proszę przesunąć regulator i dać natychmiast pełne światło.

Wieżyczka zalśniła ostrym błękitnym światłem. Oślepieni ludzie nie widzieli prawie niczego. Niza i Eon zdążyli jednak zauważyć (a może im się to tylko przywidziało?) że mrok z prawej strony wieży nie zniknął natychmiast. Przez krótką chwilę miał postać jakiegoś strzępu o rozczapierzonych mackach. To „coś" oświetlone snopem promieni ściągnęło macki i cofnęło się w ciemność.

— Może to tylko widziadło? — odezwała się Niza. — Jakieś bezbarwne skrzepy mgły skupione wokół ładunków energii? Coś w rodzaju naszych kulistych piorunów, a nie żywa materia? Jeśli tu wszystko jest czarne, to i tutejsze błyskawice też mogą być czarne!

— Wasze domysły są bardzo poetyczne — zaprzeczył Noor — lecz mało prawdopodobne. Przede wszystkim to „coś" wyraźnie atakowało, łaknąc naszej krwi. Poza tym to „ono" lub stwory jemu podobne zgładziły załogę „Żagla".

Jeśli to „coś" jest zorganizowane i wytrwałe, jeśli może się poruszać w określonym kierunku, gromadzić i wydzielać jakąś energię — to o żadnym widziadle mowy być nie może. Jest to twór żywej materii i chce nas pożreć!

Biolog poparł hipotezę kierownika.

— Wydaje mi się, że tu, na planecie mroku, (ale mroku tylko dla nas, gdyż nasze oczy nie reagują na promienie podczerwone), na owe twory powinny bardzo mocno działać inne promienie — żółte i błękitne. Reakcja tych istot jest tak błyskawiczna, że nasi towarzysze z „Żagla" nie byli w stanie tego zauważyć, gdy oświetlali miejsca ataku... Kiedy zaś spostrzegli, było już za późno, umierający nie mogli nic opowiedzieć... –

— Zaraz powtórzymy doświadczenie, chociaż zbliżenie się „tego" nie jest zbyt przyjemne.

Niza wyłączyła światło. I znów troje obserwatorów siedziało w nieprzeniknionej ciemności oczekując istot świata mroku.

— W co oni są uzbrojeni? Dlaczego ich obecność odczuwa się nawet przez kopułę i skafander? — zastanawiał się na głos biolog.

— Jakiż to rodzaj energii?

— Rodzajów energii jest bardzo niewiele, a ta jest niewątpliwie elektromagnetyczna. Ale odmian jej istnieje prawdopodobnie bardzo wiele. Te twory posiadają broń, która działa na nasz system nerwowy. Wyobraźcie sobie, co się czuje przy zetknięciu całego ciała z takimi mackami.

Erg Noor zżymał się, a Niza poczuła chłód w sercu na widok łańcuszka brązowych ogników szybko zbliżających się z trzech stron.

— To nie jest pojedyncza istota! — cicho wykrztusił Eon. — Nie należy ich chyba zbyt blisko dopuszczać do kopuły.

— Macie rację. Niech każdy z nas odwróci się tyłem do światła i patrzy tylko w swoją stronę. Niza! Włączcie!

Tym razem każdy z badaczy zdążył zauważyć szereg szczegółów, na podstawie których mogli sobie wyrobić ogólne wyobrażenie o dziwnych istotach. Były one podobne do gigantycznych płaskich meduz, pływających na niewielkiej wysokości nad powierzchnią gruntu, nieustannie poruszających gęstymi strzępami przypominającymi frendzle. Niektóre macki były stosunkowo krótkie i długość ich wynosiła nie więcej niż metr. W ostrych kątach romboidalnego ciała wiły się pary macek znacznie dłuższych. U nasady ich biolog zauważył ogromną bańkę, nieznacznie świecącą od wewnątrz i jakby wysyłającą impulsy świetlne.

— Obserwatorzy, dlaczego zapalacie i gasicie światło? — zabrzmiał nagle w słuchawkach dźwięczny głos Ingrid. — Czy potrzebujecie pomocy? Burza ustała i wracamy do pracy. Zaraz przybędziemy do was.

— W żadnym wypadku! — surowo odpowiedział Erg Noor. — Istnieje wielkie niebezpieczeństwo.

d. c. n.

NASZA KRZYŻÓWKA

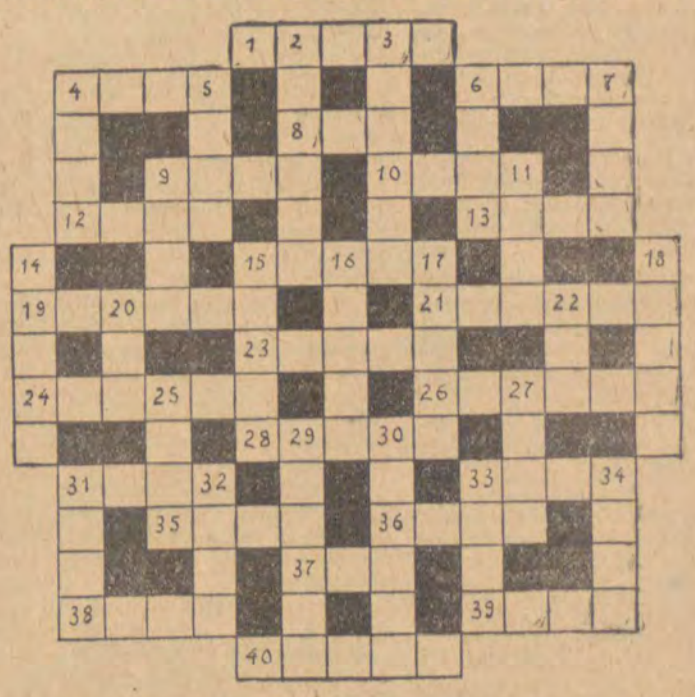

Znaczenie wyrazów:

Poziomo — 1) Farba wodna o spoiwach klejowych lub żywicznych, 4) Deseczka z wrębem do krycia dachów, 6) Chwast, 8) Pole, rola, 9) Choroba, 10) Składnik powietrza, 12) Grzyb, 13) Zapora wodna, 15) Droga, tor, ścieżka, 19) Kawałek drzewa, 21) Miłośnik, zwolennik, 23) Pokój w hotelu, 24) Paski do przywieszania szabli u boku, 26) Wózek o jednym kółku, 28) Worek, 31) Zwierzę futerkowe, 33) Imię żeńskie, 35) Nadmierne podniecenie, uniesienie, pasja, 36) Tkanina lub zwierzę, 37) Lecz, wszak, przecież, 38) Szczątki zatopionego okrętu, 39) Kwiat, 40) Grzęda na polu ornym.

Pionowo — 2) Jeden z przypadków deklinacji, 3) Nazwa utworu muzycznego, 4) Wrzawa, 5) Prysznic lub krótkie powitanie muzyczne, 6) Parkan, 7) Pora roku, 9) Rzeka w Polsce, 11) Waga opakowania, 14) „Halka", „Aida" itp., 15) Utwór poetycki, 16) Zwierzę, 17) Król, walet itp., 18) Obszar, powierzchnia gruntu, zwłaszcza uprawnego, 20) Przynęta dla much, 22) As, 25) Uderzenie, 27) Metal, 29) Grzeczność, wyrobienie towarzyskie, 30) Taniec, 31) Metal, 32) Elegancja, dobry smak w ubiorze, 33) Rzymski bożek miłości, 34) Pogoda.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Wśród osób, które nadeślą prawidłowe rozwiązanie krzyżówki, zostaną rozlosowane nagrody książkowe.

JULIUSZ JANCZUR HENRYK WALENDA

KRAWACIARZE

W tym roku przypada 15-lecie pracy Milicji Obywatelskiej. Dorobek działalności naszej Milicji jest ogromny. Redakcji naszej udostępniono materiały do najciekawszych spraw kryminalnych związanych z Łodzią i województwem. W cyklu specjalnych reportaży pragniemy zapoznać naszych Czytelników z trudną pracą aparatu śledczego, walczącego z przestępstwem i zbrodnią.

„Krawaciarze" — to pierwszy reportaż ze wspomnianego cyklu. Ale nazwy „Krawaciarze" nie znajdziecie w oficjalnych aktach tej sprawy. Jest to po prostu określenie, jakie grupie okrutnych zbrodniarzy nadali pracownicy służby śledczej, gdy szamotali się z plątaniną śladów, wiedząc, że każdy dzień wolności morderców oznaczać może śmierć człowieka. Historia długiej i uporczywej pogoni za przestępcami, historia morderców pozbawionych wszelkich ludzkich uczuć jest tematem tego reportażu.

Pierwsza zbrodnia

Wieczór na placu Wolności. Jest pusto. Nieliczni przechodnie znikają w bramach, czasem przejdzie para zakochanych. Dwóch pijaków odprowadza się chwiejnym krokiem...

Był to ostatni dzień września tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku. Zegar na Ratuszu wybił godzinę 10.

Trzech mężczyzn zatrzymało się na moment pod jedną z posesji przy ul. Nowomiejskiej. Tu się rozdzielili. Jeden z nich przeszedł na drugą stronę ulicy, a dwaj pozostali weszli do bramy, skręcili na klatkę schodową i powędrowali na pierwsze piętro. Nacisnęli guziczek dzwonka.

Frydman uchylił drzwi i ze zdziwieniem patrzył na spóźnionych gości.

Jeden z przybyłych, młody, osiemnastoletni chłopak, mignął mu przed oczyma czerwoną okładką legitymacji.

— Jesteśmy z Urzędu Bezpieczeństwa! Przyszliśmy zrobić rewizję...

Frydman szeroko otworzył drzwi. Prowadził prywatny warsztat dziewiarski i miał w mieszkaniu sporo przędzy, o której wiedział, że pochodzi z kradzieży. Przez głowę przemknęła mu myśl, że tym razem wpadł. Ale jednocześnie pomyślał, że jeszcze nie wszystko stracone. Przecież ludzie są tylko ludźmi...

Na stole postawił jedną, a później drugą półlitrówkę spirytusu. Pili bez dobierania wodą, zagryzali ciastkami i cukierkami.

Toczyła się rozmowa o ciężkich warunkach materialnych gospodarza, o jego pracy, o trudnościach w nabyciu surowca, o wysokich podatkach...

Młody przysunął sobie leżący na stole blok listowy i zaczął pisać:

„Protokół... Łódź, dnia... Obywatel Frydman, zamieszkały Łódź, ulica Nowomiejska... został posądzony o posiadanie waluty i nielegalnej przędzy: białej, kolorowej, oraz o inne rzeczy"...

Frydman zaproponował im po dziesięć tysięcy. Młody podarł protokół i wrzucił do popielniczki. Drugi zażądał po piętnaście.

I wtedy Frydman zrobił jeden fałszywy krok, za który zapłacił najwyższą cenę. Powiedział do młodszego z przybyszów.

— Przecież ty pracujesz w warsztacie dziewiarskim na Gdańskiej... Dlaczego udajesz, że jesteś z Bezpieki?

Zaśmieli się jak z dobrego dowcipu. Frydman odszedł za przepierzenie, napić się wody. Przez ten czas trwała szeptem prowadzona narada.

— Musimy z nim skończyć... bo nas sypnie!!...

Frydman wrócił, nalał w kieliszki. Jeszcze przez pół godziny toczyła się rozmowa.

Ten młody chodził po pokoju. Gdy znalazł się za plecami Frydmana — chwycił go za włosy i pięścią uderzył w skroń. Zaciągnął go na łóżko. Drugi skoczył mu na piersi łamiąc żebra... Zacisnął krawat który Frydman miał na szyi... i trzymał...

Zegar na placu Wolności wybił północ.

Śledztwo

Następnego dnia rano przyszedł interesant, zobaczył trupa i zaalarmował milicję.

Grupa śledcza rozpoczęła służbowe czynności rozpoczynając od oględzin miejsca przestępstwa. Na flaszkach i na splądrowanej szafie znaleziono odciski linij papilarnych, które zebrano na folię. W popielniczce znaleziono strzępy papieru. Po złożeniu okazało się, że jest to „protokół", sporządzony przez morderców.

Zabezpieczono także stos niedopałków papierosów.

Jednocześnie, druga grupa przeprowadzała rozmowy z sąsiadami, chodziło o uchwycenie jakiejś nitki, mogącej wyjaśnić zagadkę.

Nikt z lokatorów nic nie słyszał, i nic nie wiedział. Frydman był spokojnym człowiekiem, z wszystkimi żył dobrze, nigdy się nie awanturował, nie upijał. Co do tego wszyscy byli zgodni.

Rozmawiano także z dozorcą. Zamknął bramę punktualnie o godz. 23, w nocy nikogo nie wypuszczał z posesji. O czwartej rano otworzył bramę, bo ZOM miał przyjechać po puszki. Nikogo podejrzanego, żadnych obcych ludzi nie widział.

A więc zabójstwa mógł dokonać albo ktoś z lokatorów domu, albo też przestępcy przeczekali gdzieś w ukryciu do otwarcia bramy i wyszli nie zauważeni.

Przeszukano miejsca, gdzie można się było skryć. Remontowano wtedy piwnice. W jednej z nich znaleziono zniszczone pudełko do papierosów „Mocne", kilka niedopałków i zapałek, wgniecionych w piasek. Ślady stóp były pozaclerane i nie nadawały się do utrwalenia odlewami gipsowymi.

Żadnych wyjść z posesji oprócz bramy nie było. Grupa śledcza mogła dać odpowiedź na sześć z „siedmiu złotych pytań":

1) co się stało? — morderstwo,

2) gdzie się stało? — w mieszkaniu własnym Frydmana,

3) czas dokonania przestępstwa? — północ,

4) motywy działania? — napad rabunkowy,

5) jak się stało? — brak śladów ostrej walki,

6) czym i jak? — uduszenie krawatem po uprzednim ogłuszeniu,

7) kto dokonał? — ?

Na ostatnie pytanie brakowało odpowiedzi. Nie uzyskano żadnych informacji, pozwalających na szybkie odnalezienie przestępców.

W ten sposób zakończył się pierwszy etap śledztwa.

Wysuwano dziesiątki rozmaitych hipotez; a może Frydmana zamordowali jego wspólnicy, albo konkurenci? Może był to akt terroru?

Jeśli rabunek, to dlaczego sprawcy zostawili w splądrowanej szafie leżące pod ręcznikiem 300.000 zł? Siostra zamordowanego ustaliła, że z mieszkania zginął garnitur, płaszcz gabardynowy, złoty zegarek, pieniądze z portfela, bielizna pościelowa, kilka męskich i damskich swetrów oraz pewna ilość przędzy.

No, a te strzępy protokołu?

... „posądzony o posiadanie waluty i nielegalnej przędzy"...

Czyżby ktoś z Komisji Specjalnej?...

Rozpoczął się drugi etap śledztwa.

Uzgodniono plan, w myśl którego systematycznie sprawdzano wszystkie hipotezy.

Zabezpieczono niemal wszystkie place targowe w Polsce, aby ewentualnie odnaleźć w sprzedaży skradzioną garderobę. Odszukano znajomych Frydmana, rozmawiano z podejrzanymi „niebieskimi ptakami" przesłuchiwano prostytutki, szukano jakiegoś punktu zaczepienia, pozwalającego na określenie grupy, skąd wywodzili się przestępcy.

Zdaktyloskopowano ponad dziewięćdziesiąt osób, porównywano odciski palców ze śladami zostawionymi w mieszkaniu Frydmana. Niestety wyniki okazały się negatywne.

Na pudełku po papierosach „Mocne" odnalezionym w pustej piwnicy, ujawniono ślady barwników. Ekspertyza wykazała, że są to barwniki używane do farbowania przędzy.

Penetrowano środowiska prywatnych farbiarzy — ale i tutaj nic nie znaleziono.

Nadeszła także odpowiedź z ekspertyzy niedopałków znalezionych w mieszkaniu Frydmana. Orzeczenie brzmiało — „są to niedopałki papierosów „Górnik", pochodzących z wytwórni w Radomiu, maszyna nr 33, zmiana poranna"...

Zmiana poranna, czy nocna, w niczym nie zmieniała faktu, że w sprawie morderstwa Frydmana oprócz odcisków palców, nie było żadnej wskazówki, pozwalającej na zidentyfikowanie sprawców.

Olbrzymim nakładem pracy wyjaśniono wszystkie hipotezy i w końcowym rachunku otrzymano okrągłe zero.

Zaczęto znów analizować materiały, aby odnaleźć błąd. W ten sposób trafiono znowu do początku sprawy, do oświadczenia dozorcy, że w nocy nikogo nie wypuszczał z posesji. To oświadczenie zaprzeczało wnioskom, jakie wyciągnięto z dotychczasowego śledztwa. Podano je więc w wątpliwość.

Mimo dotychczasowej dobrej opinii dozorcy, braku powiązań z elementami przestępczymi, zasług oddanych w czasie ostatniej wojny (inwalida wojenny) — zaczęto go podejrzewać o zmowę z przestępcami. Dyskretna obserwacja nie przyniosła rezultatów. Postanowiono porozmawiać z nim raz jeszcze.

To był właściwy ślad, ale niestety, spóźniony.

Dozorca mógłby pomóc w szybkim odszukaniu przestępców, znał przecież ich rysopisy, bo owej krytycznej nocy otwierał im bramę. Wychodzili obładowani paczkami i za fatygę dali mu 500 zł. Ta kwota spowodowała, że dozorca postanowił fałszywie zeznawać, sprowadzając w ten sposób śledztwo na fałszywe tory. Jego fałszywe zeznanie zatrudniało dziesiątki pracowników służby śledczej przy wykonywaniu nikomu niepotrzebnych czynności, zwalniało tempo śledztwa, rozszerzając bazę potencjalnych przestępców do olbrzymich rozmiarów, a więc w sumie działało na korzyść rzeczywistych morderców.

Trudno winić dozorcę — półanalfabetę. Ale to jego głupota w pośredni sposób przyczyniła się do śmierci starej kobiety, następnej ofiary bandytów spod znaku krawata i pistoletu.

Druga ofiara bandy

W dniu 2. XII w restauracji przy ul. Zachodniej spotkało się czterech mężczyzn. Wypili półtora litra wódki i w tym czasie młody osiemnastoletni chłopak określił miejsce, gdzie ma być dokonany napad.

Potem poszli do restauracji, mieszczącej się na rogu ulicy Legionów i Gdańskiej. Tam wypili trzy „ćwiartki", a przez ten czas młody udał się do jednego z domów przy ulicy Legionów. Wrócił po kilku minutach.

— Możecie iść! Jest sama w mieszkaniu! Pytajcie o Olka...

Trzech mężczyzn weszło na klatkę schodową. Zastukali... Drzwi uchyliła Korońska, 55-letnia kobieta.

— My do Olka...

— Nie ma go w domu, Będzie po dziesiątej...

— To poczekamy...

Weszli do mieszkania i zamknęli drzwi. Nagle Korońska zobaczyła przed sobą wyciągnięty pistolet.

— Dawaj pieniądze!

Przestraszyła się i podeszła do szafy. Wyjęła 17.000 i wręczyła im.

— Gdzie reszta?! To za mało!

Jeden z nich uderzył kobietę pistoletem w głowę. Straciła przytomność. Chwytają ją we dwóch, niosą do drugiego pokoju i rzucają na łóżko. Krwawiąca rana zostawiła na podłodze ślady...

W materacu znajdują paczki pieniędzy. Pakują je do walizki.

— Zaciągnąć starą!...

Któryś sięga do szafy, wyjmuje krawat syna i zakłada kobiecie na szyję... Ona otwiera oczy, chce krzyczeć, ale ciężka dłoń zatyka jej usta...

Wychodzą kolejno. Na dole oddają walizkę młodemu i idą za nim w odległości trzydziestu kroków. Nikt ich nie widział, nie zostawili żadnych śladów, gdyż byli w rękawiczkach.

Przeliczyli łup — było tego ponad dwa i pół miliona złotych. Podzielili pieniądze i każdy udał się do swego mieszkania.

Grupa śledcza przystąpiła do pracy. Zaczęto zastanawiać się nad pewnymi cechami wspólnymi morderstw Frydmana i Korońskiej Duszenie krawatami, środowisko dziewiarzy (Korońska też była właścicielką warsztatu). W ten sposób zacieśniono krąg osób, które mogły dokonać przestępstwa. Obydwu rabunków dokonano bardzo prymitywnie — jedynie przy użyciu siły. Ofiary napaści pozbawiono życia, co prowadziło do wniosku, że mordercy obawiali się rozpoznania. Byli to więc albo jacyś znajomi swych ofiar, albo z bliskich im środowisk.

Znowu rozmawiano z wieloma ludźmi, sprawdzano wiele poszlak.

Dozorca posesji z ul. Nowomiejskiej przyznał się do fałszywych zeznań, ale przez te dwa miesiące zapomniał rysopisy przestępców. Podał tylko, że jednym z morderców był młody chłopak.

Podczas żmudnego przesiewania drobnych informacji o zachowaniu się ludzi, żyjących bez stałej pracy, otrzymano sygnał, że młody, osiemnastoletni chłopak, który ostatnio nigdzie nie pracował, fundował kolegom wódkę.

Sygnał nie był żadną rewelacją. Ostatecznie ów młody chłopak mógł komuś ukraść w tramwaju sto złotych i udawać hojnego. Ale zaczęto sprawdzać i tę informację.

(Dalszy ciąg na str. 11)

Łóżko Korońskiej, z którego mordercy zrabowali pieniądze

Zdjęcia: Archiwum MO

(Dokończenie ze str. 10)

Los Sprzeczki

Ów młody człowiek nazywał się Kazimierz Sprzeczka. W czasie analizy materiałów natrafiono na jego zeznanie. A więc był już przesłuchiwany? Ale nie odnaleziono jego karty daktyloskopowej.

W czasie dalszych wyjaśnień ustalono, że Sprzeczka pracował jako dziewiarz w prywatnych warsztatach, a mieszkał w tym samym domu, co Korońska.

Ale cóż się stało z jego kartą daktyloskopową? (wszyscy przesłuchiwani zostawiali odciski swych palców).

Podczas rozmowy z oficerem śledczym ujawniono pewne niedociągnięcia. Otóż w czasie przesłuchiwania Sprzeczki przyprowadzono do Komendy grupę świadków. Chodziło o wyjaśnienie przyczyn dużego pożaru w jednej z fabryk. Oficer śledczy śpieszył się do tamtej pracy i zwolnił Sprzeczkę bez daktyloskopowania.

Postanowiono obserwować chłopaka, ale okazało się, że od dwóch dni nie ma go w domu. Rodzice ani znajomi nie mogli udzielić żadnych wyjaśnień. Sprzeczka przepadł jak kamień w wodę.

W tym czasie Krakowska Komenda MO podała w swym Biuletynie, że nad Wisłą koło Wawelu zostało popełnione morderstwo. Młody mężczyzna został uduszony i z kamieniem przywiązanym do szyi wrzucony do Wisły. Na miejscu przestępstwa znaleziono przerwany krawat, poplamiony krwią. Powstało podejrzenie, że denat został uduszony krawatem..

Na ten alarmujący sygnał do Krakowa udało się kilku pracowników MO, aby zebrać bliższe dane.

Banda znów dała o sobie znać, tym razem w Krakowie. Przy denacie nie znaleziono żadnych dokumentów, ani drobiazgów, mogących pomóc w zidentyfikowaniu. Pobrano odciski palców i przesłano do Centralnego Laboratorium Ekspertyz.

Odpowiedź przyszła bardzo szybko i była rewelacyjna. Odciski palców denata pokrywały się z odciskami znalezionymi w mieszkaniu Frydmana.

A więc był to jeden z członków bandy. Jeden z morderców. Nareszcie uchwycono jakąś nitkę.

Sprawa potoczyła się teraz błyskawicznie. Na podstawie rysopisu i zdjęcia zidentyfikowano trupa wyłowionego z Wisły.

Był nim 18-letni Kazimierz Sprzeczka, członek bandy.

JULIUSZ JANCZUR
HENRYK WALENDA

Dokończenie za tydzień

Redaguje Zespół ○ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ○ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 ○ Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,– zł, kwartalnie 12,– zł. ○ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ○ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" – z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk RSW „Prasa" – Łódź, Żwirki 17. Z. 1219 IV. 59. S-9

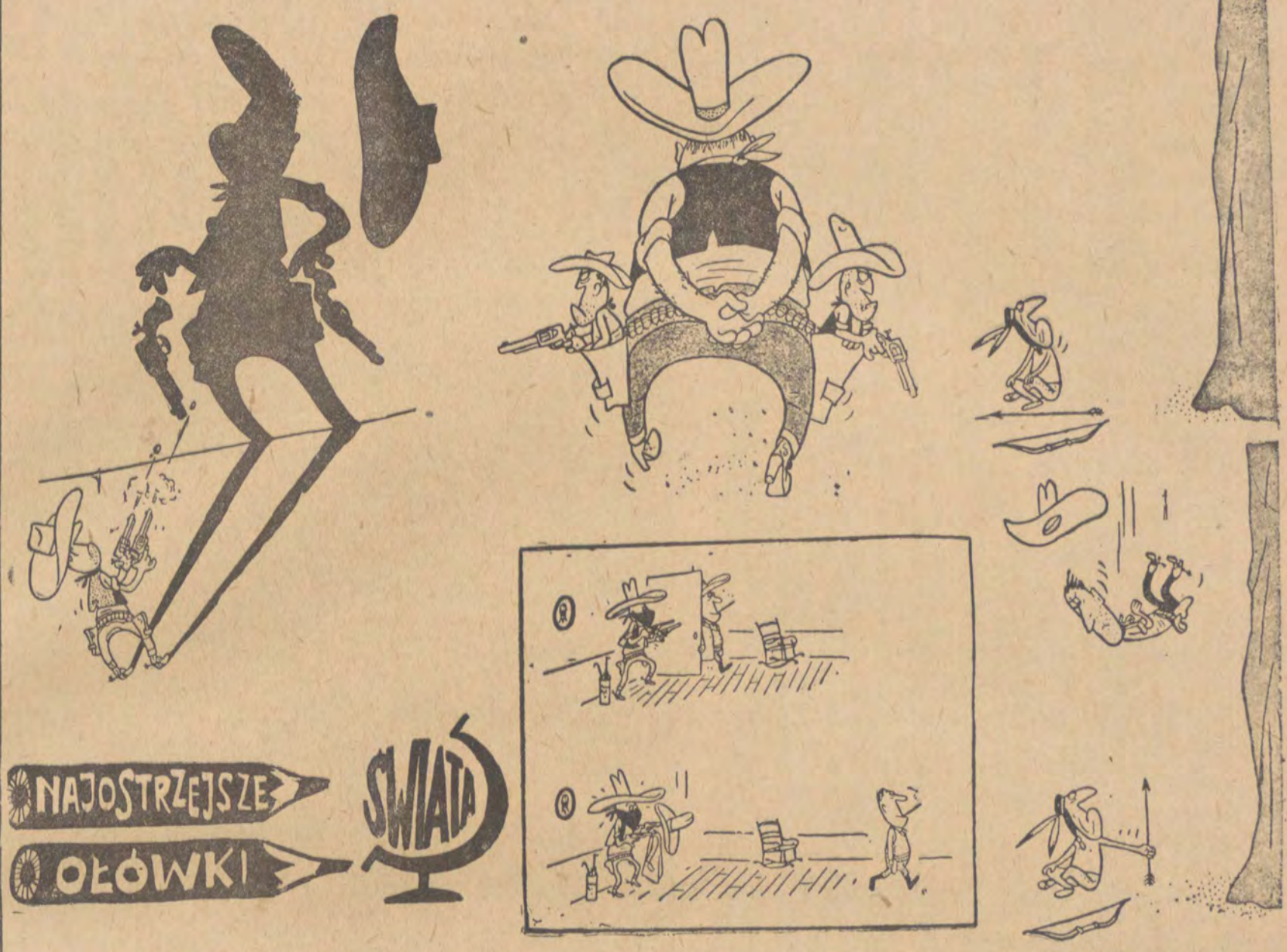

MICHEL DOUAY

Nowoczesny dowcip rysunkowy inspirowany był we Francji przez dwa wielkie magazyny ilustrowane, „Paris Match" i „France Dimanche". Tutaj debiutowali i wyrośli tak słynni karykaturzyści, jak Bose, Tetsu Trez, Folon, Lou Myers — i Michel Douay. W tych właśnie pismach podejmowano najbardziej śmiałe eksperymenty, lansowano gatunek czystego absurdu i groteski makabrycznej.

Ostatnio jednak nastąpiły wyraźne zmiany. Okazało się, że czytelników przestały bawić żarty „nowoczesnych". Oba pisma, po licznych reklamacjach na zbyt trudne i ponure rysunki — zatrąbiły do odwrotu. Powodzenie, a zatem i sytuacja materialna młodych eksperymentatorów zostały zachwiane. Trzeba się było wyrzec ambicji poszukiwań, pogodzić z żądaniami czytelników.

Michel Douay zdołał jednak wobec tych zmian „zachować twarz". Rysownikowi temu udało się znaleźć temat, który godził jego osobiste upodobania z zamówieniem odbiorców. Tym tematem—a właściwie gatunkiem — stała się dla Douaya p a r o d i a.

Douay parodiuje film awanturniczy — sensacyjne historie o piratach i kowbojach. Pokazuje świat, w którym nie ma rzeczy niemożliwych, gdzie nieprawdopodobieństwo staje się podstawową regułą dobrej zabawy.

Charakterystyczne jednak, że w parodiach Douaya nie ma ani łuta złośliwości. Przeciwnie — jest ogromna sympatia dla tematu parodii. Rzecz w tym, że francuski rysownik tylko pozornie poszedł na ustępstwa wobec łatwizny. Podjęcie gatunku parodii było jedynie sprytnym wybiegiem.

Michel Douay zachował nadal cały arsenał chwytów z poetyki absurdu. Nadal odżegnuje się od aktualności, obce mu są niepokoje współczesnej cywilizacji. Pozostały w jego dowcipach sytuacje z pogranicza makabry. I wciąż rysuje żarty bez podpisu, bez słów. Tyle tylko, że sprowadził absurd i groteskę do wymiaru powszechnie znanych i zrozumiałych motywów filmu awanturniczego.

A powodzenie nie dało na siebie długo czekać — Douay, dawniej niezbyt popularny, należy dziś do ścisłej czołówki karykatury francuskiej.

J-ERT.

Mieszaniny

Pod redakcją Jana Huszczy

POMYŁKA

W późne wieczory, kiedy we mgle albo w deszczu światła kołyszą się jak boje na wzburzonej fali, ludzie szczególnie chętnie gromadzą się przy bufetach. Z obawy przed grypą wstępują na jednego nawet tacy, co zazwyczaj unikają alkoholu. Piją w milczeniu, przeważnie w pojedynkę. Dopiero po drugim albo trzecim kieliszku zaczynają przyglądać się sąsiadom, aby znaleźć możność wymienienia paru uwag na temat drużyn piłkarskich lub dorsza po grecku, rozproszyć na chwilę swoją samotność.

Niedawno w takich właśnie okolicznościach zwrócił się do mnie jegomość w kusym, modnym paletku:

— Ależ pogoda, co?

— Cholerna! — przyznałem.

— To pan pozwoli, że wspólnie się napijemy?

— Proszę bardzo!

Jegomość w kusym paletku wyglądał teraz na człowieka, którego uszczęśliwiłem. Zawołał:

— Szefowo, dwa miętowe!

Pojawiły się na brudnej tacce dwa miętowe w graniastych kieliszkach. Nim po nie sięgnęliśmy, jegomość wcisnął swoją prawicę w moją i oznajmił:

— Szepiel jestem!

— Miło mi!

— A ja, prawdę mówiąc, od trzech tygodni szukam okazji, żeby zahaczyć o pana! — wyznał Szepiel.

Poczułem się tak, jakby mnie czyjaś życzliwa ręka pogłaskała po głowie. Dawno już nikt nie okazywał mi tyle uznania i szacunku. Chciałem go zapytać, czy może umie na pamięć jakieś moje wiersze, ale przygodny znajomy nie dawał dojść mi do słowa.

Zresztą, znowu zieleniały przed nami miętowe likiery, obłożone na ten raz kanapkami z łososiem.

Kończąc intensywne przeżuwanie, Szepiel szepnął:

— Panie, ale tu brudno! Jeżeli pan ma czas i nie pogardzi moim towarzystwem, to chodźmy do „Monopolu"... popatrzeć, jak tańczą! Lubię tańczącą młodzież!

Także lubię tańczącą młodzież, więc poszliśmy do „Monopolu".

Szepiel traktował mnie z macierzyńską niemal troskliwością. Usadowił w fotelu, długo naradzał się z kelnerem co do trunków i kolacji, badał czy nie razi moich oczu zbyt jaskrawe światło.

I znowu próbowałem sprowadzić rozmowę na sprawy literatury i sztuki, ale pan Szepiel bronił się przed wszystkim, co — jego zdaniem — nie trącało o frywolność i szampańskie rozbawienie.

Czuliśmy się coraz lepiej! Niekiedy wydawało się nam, iż nasz stolik wraz z nami, siedzącymi w fotelach, wjeżdża między tańczące pary, w sam gąszcz muzyki i rozgwaru.

Było już może nawet po północy i było po wielu kieliszkach, kiedy Szepiel stał się nagle rzeczowy i jednocześnie poufały:

— To jak będzie, panie ładny?

— Co pan ma na myśli?

— Żarty pana się trzymają! No, przecież chodzi o tę willę, którą odnawiam! Ułatwi mi pan zdobycie siatki, okładziny i blachy?

— Ja?

— Pewnie, że pan, a nie archanioł Gabryel! Pana mi polecono!

Zerwałem się, choć nie przyszło mi to z łatwością:

— Panie Szepiel, czego pan ode mnie chce?! Nie mam nic wspólnego ani z siatką, ani z okładziną i blachą!

— To pan nie jest ten brygadzista Woweyniec?

— Jestem literatem!

W tym miejscu Szepiel z twarzą, przekreśloną zygzakiem wściekłości, zaczął mi robić ordynarną awanturę. Z trudem zmusiłem go do rozsądku i do uregulowania zobowiązań wobec państwowego przedsiębiorstwa „Monopol".

Wychodząc, strasznie jednak żałowałem, iż nie jestem owym brygadzistą o dość rzadko spotykanym nazwisku Woweyniec!

Apel do konferansjerów

W świetlicach naszych miast i miasteczek nieraz występują różne brygady, ekipy i zespoły artystyczne. Nasilenie tych występów przewiduje się w Dniach Oświaty, Książki i Prasy.

Niejednokrotnie zwracano uwagę na to (m.in. i w naszym bratnim organie, jakim są „Odgłosy"), iż różni aktorzy i śpiewacy lekceważą sobie takie występy, traktując je jedynie jako okazję do łatwego zarobku.

Szczególnie męczący bywają konferansjerzy, którzy w taki mniej więcej sposób urozmaicają występy swoich koleżanek i kolegów:

„A teraz, proszę państwa... Proszę państwa, prawda, bawimy się tu, myśląc o książce i prasie... Proszę państwa, właściwie co ja mam do powiedzenia... Aha, taka okazja, jak nasze dzisiejsze spotkanie, to... Pamiętajmy także o oświacie... Chciałbym, żeby na ustach państwa, a zwłaszcza naszych dzielnych przodowników zakwitł uśmiech pogody, chociaż lodówki, co prawda, nadal są he... he... he... drogie... Proszę państwa, właściwie... Ja tu chciałem tylko zauważyć... No, tak!... A teraz, proszę państwa, wystąpi... Bo ta koleżanka wystąpi, proszę państwa, w swoim repertuarze... Ale, proszę państwa, ja tu mówię dowcipy, a państwo chyba... No, tak... A więc!..."

Uwaga, zawodowcy i amatorzy! Gdy nie dysponuje się autentycznym talentem konferansjerskim, to najlepiej ograniczyć się do poprawnego zapowiadania numerów programu według ich kolejności, konferansjerka bowiem nie jest rzeczą łatwą! Zwłaszcza, dla słuchaczy!

Przegląd prasy

W numerze znanego ongiś pisma satyrycznego „Sowizdrzał" (2. VI. 1918) znaleźliśmy żartobliwy wierszyk Antoniego Słonimskiego o tematyce ściśle aktualnej i dlatego zapragnęliśmy go Czytelnikom „Mieszanin" przypomnieć. Wiersz nosi tytuł „Westchnienie":

Wiatr białe kwiateczki zwiewa
I rzuca je do mych nóg.
— Jak mocno w krąg pachną drzewa.
— Ach, żebym to ja tak mógł!

Pąki na słońcu się grzeją,
Jak żywy i giętki łuk,
Pęcznieją wraz i grubieją.
— Ach, żebym to ja tak mógł!

Chmurki powiewne, srebrzyste
Rozwiewa z lazurów Bóg
I niebo staje się czyste.
— Ach, żebym to ja tak mógł!

A każde z zwierząt niewinnych
Naturze spłaca dług.
I nie ma już długów innych.
— Ach, żebym to ja tak mógł!

ANDRZEJ DOŁĘGA

Film bez tytułu

„Film bez tytułu" — obok niewątpliwych walorów, o których będzie mowa potem, ma także wszystkie chyba cechy najwnego kiczu. (Jedynie słowo „kicz" — trochę tu nie jest na miejscu. Inaczej jednak nie sposób określić elementów, które film „beztytułowy" anektuje na równi z wartościowymi założeniami scenariusza Kautnera). Fakt, że film wyprodukowany został w roku 1947—48 — usprawiedliwia dość dużo. W ciągu kilku powojennych latek kinematografia krajów europejskich zrobiła duży krok — przede wszystkim techniczny. Stąd „Film bez tytułu" traci myszką, ale nie w stopniu kompromitującym.

Romans dobrze sytuowanego antykwariusza ze służącą (córką kułaka), romans „arystokraty" z przedstawicielką „plebsu", ma na ekranie urok najpiękniejszego schematu. Ale romans ten upstrzono sporym ładunkiem komizmu sytuacyjnego. Sympatyczny jest np. moment gdy słyszymy zdanie, podane tonem rzeczowej informacji: „— Angelika! Tej nocy twój wspólnik Delius uwiódł twoją służącą". (a Delius ma twarz grzesznika, który się pragnie powiesić). Ale nie tylko dowcip uchronił „Film bez tytułu" od zakwalifikowania się w szranki p. Chały. Ten film, choć to obraz „niezaangażowany" — jest jednak w jakimś sensie uczciwy. Mówi o wojnie z nie ukrywaną i niefałszywą goryczą. Jak mało który film zachodnioniemiecki.

Dlaczego „Film bez tytułu" nosi taką właśnie, trochę dziwaczną nazwę? Zagadka tkwi w jego strukturze formalnej. Znajdujemy tu starą, ale zawsze ciekawą zasadę pozornego braku scenariusza i improwizowania akcji filmu przez twórców pokazywanych na ekranie. Ale nie dzięki temu, tylko dzięki aktorom, a przede wszystkim kapitalnej Hildegard Knef (Krystyna) i Hansowi Sohnkerowi (Delius) „Film bez tytułu" nie zestarzał się w tym stopniu, by go nie było można polecić. Kto szuka na ekranie małego przeżycia, bez większych dramatów i sensacji, ten nie zawiedzie się i „Film bez tytułu" obejrzy z przyjemnością.

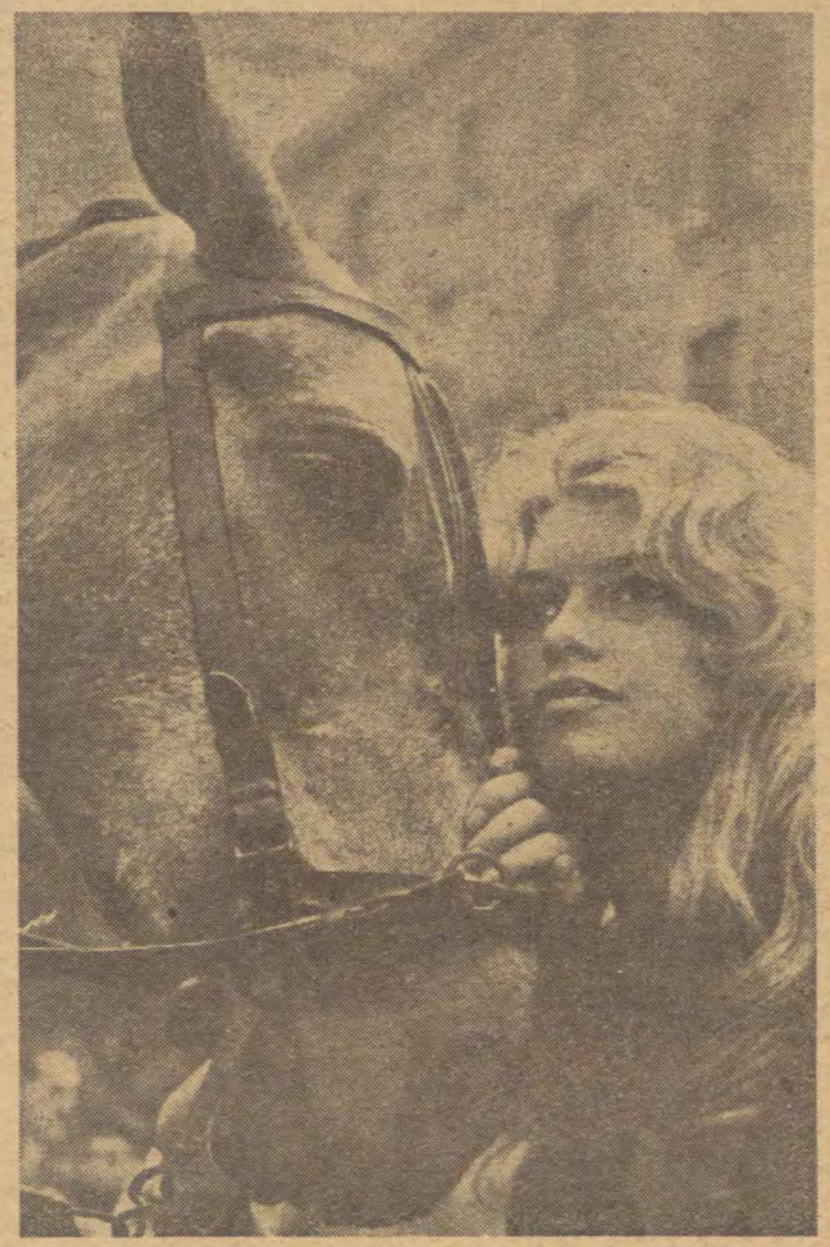

Wobec znacznej ilości odpowiedzi, które nadeszły do redakcji „Mieszanki Filmowej" w związku z ankietą „Filmy niedozwolone" — zmuszeni jesteśmy odłożyć do przyszłego tygodnia publikowanie materiału. Na razie dziękujemy p. Leonowi Bukowieckiemu z Warszawy, który włączył się do naszej akcji, ogłaszając odpowiedni felieton w tygodniku ilustrowanym „Film".

A. NIEŚMIAŁEK

Kuzyni Claude Chabrola

Francuska krytyka filmowa coraz częściej pisze ostatnio o twórczości filmowej młodego reżysera Claude Chabrola. Kim jest ten reżyser? Z zawodu jest dziennikarzem, który nie marzył o realizacji filmów. Los płata jednak figle. Chabrol otrzymał spadek, który umożliwił mu zrealizowanie pierwszego filmu pt. „Le Beau Serge" („Piękny Sergiusz"). Na ten film zwrócila uwagę krytyka podczas festiwalu w Cannes, co chyba znalazło późniejsze odbicie w przyznaniu temu filmowi nagrody w Locarno.

Po pierwszym sukcesie bywa różnie. Jedni schodzą na psy, inni pracują dalej. Chabrol w krótkim czasie udowodnił, że jego pierwszy sukces nie był dziełem przypadku. Na ekrany kin paryskich wszedł jego nowy film pt. „Kuzyni". Tematem są sprawy współczesnej młodzieży o nieustabilizowanych zasadach, młodzieży szukającej tych zasad w życiu. Historia dwóch kuzynów, z których jeden solidny i uczciwy popada w konflikt z drugim, szukającym „normalności" w zupełnym obaleniu wszelkich zasad moralnych — stanowi fabułę filmu Chabrola. Młody reżyser zaangażował aktorów grających w jego pierwszym filmie, a mianowicie: Jean-Claude Brialy'ego i Gerarda Blain'a. Obydwu wymienionym prasa francuska stawia dobre horoskopy na przyszłość.

Na większe trudności napotkał twórca „Kuzynów" przy obsadzie ról kobiecych. Wreszcie młode odtwórczynie znalazł po prostu... w kinie. Oglądając dwie reklamówki, zauważył Juliette Mayniel z pięknymi zielonymi oczyma. Po obejrzeniu drugiej reklamówki („Białe zęby") zaangażował następną aktorką Genevieve Cluny. Pierwsza grała w dwóch filmach: „Rybacy Islandii" i „Oczy bez wyrazu" razem z Pierre Brauseurem, określa się ją jako rewelację ostatniego sezonu, a druga z wymienionych aktorek stwarza kreację rokującą jej dużą karierę filmową.

„Kuzyni" — Juliette Mayniel i Gerard Blain

Piszą o...

niespodziewanym i udanym debiucie aktorskim Sławomira Mrożka — zapomnieliśmy dodać, że znakomicie partneruje mu w filmie „Rondo" młody krakowski architekt, p. Stefan Szlachtycz. Widzimy go na fotografii w białym uniformie, jako że występuje on w roli kelnera (tragicznej postaci, nordowanej w finale filmu przez Sławomira Mrożka). P. Szlachtycz — jako aktor — także jest debiutantem.

Skromność czy rozwaga

Nader dokładnie omówiliśmy już nieszczęsne zdubbingowanie filmu „Rififi" i nie wracalibyśmy do tego tematu, gdyby nie fakt dość zastanawiający. Tym razem dubbing został popełniony anonimowo. Czyżby to było zerwanie z tradycją wymieniania autorów wersji polskiej i odtwórców poszczególnych głosów? A może to tylko zrozumiała skromność? Czekamy na wyjaśnienie.

Gniewni na popsuciu

Pisaliśmy swego czasu o znakomitym filmie „12 gniewnych ludzi". Obecnie poinformowano nas, że obraz ten ukaże się na polskich ekranach zgodnie z poprzednimi zapowiedziami, ale z dodaniem nowej atrakcji — zostanie zdubbingowany. Odpowiednie zabiegi zostały już nawet rozpoczęte. Ha...

Strzeżmy się!

„Pani Irena Merz, krytyk filmowy, którego werdykty cenione były w latach 1951-1953 — pojęła działalność piórem, ogłaszając w tyg. „Film" (nr 12) esej pt. „O sposobie przedstawiania zła w filmie". Pani Merz dowodzi, iż „wyprodukowane ostatnio nasze filmy wojenne zaczęły przedstawiać wojnę w sposób niemal sielankowy, jak z czytanek dla dzieci szkolnych, i zagubiły jej grozę" Z.daniem p. Merz „aby tępić zło trzeba je pokazywać w sposób sugestywny, jako groźne dla dobra".

Pani Merz zakończyła esej zdaniem: „Strzeżmy się tego, co już narobiło tyle szkód".

EDWARD ETLER

Złote jajko

Z niemałym zdumieniem przeczytałem w „Dzienniku Łódzkim" notatkę o zwięzłym tytule „Nareszcie naukowe podejście, ankieta w sprawie gustów filmowych". A więc ktoś zabrał się do łączki odłogiem leżącej! Napisano:

„ (...) Ankieta w siedemnastu pytaniach obejmie wszelkie sprawy wpływające na powodzenie filmów, a więc m. in. miejsce kina w całokształcie rozrywek człowieka, częstotliwość uczęszczania do kina, czy widz posiada ulubiony typ filmów, ulubionego aktora, czy woli filmy czarno-białe czy też kolorowe, z napisami lub dubbingowane, jakie filmy podobały mu się i dlaczego, jak wpływa na powodzenie kina telewizja itp."

Ale zdumienie moje miało i inny, równie istotny powód. Pod koniec notatki, której spory fragment przytoczyłem wyżej, wyszła na jaw rzecz rewelacyjna i przerażająca.

„ (...) Na pierwszy ogień — podaje autor wspomnianego anonsu — wybrano widzów łódzkich. Ankiety będą kolportowane wśród robotników 5 zakładów pracy i w ostatnich klasach 5 szkół licealnych. Ogółem liczy się w pierwszym etapie na 1000 odpowiedzi. Praca zostanie zakończona do 15 czerwca br. Jej wyniki posłużą za podstawę prac CWF nad doborem repertuaru filmowego".

Chyba zrozumiałem dobrze. Oto wyniki ankiety rozpisanej przez Centralę Wynajmu Filmów, wespół z Zakładem Socjologii i Historii Kultury Polskiej Akademii Nauk — posłużyć mają dla doboru repertuaru. Jeśli więc para łódzkich naukowców, mgr Dzięcielewska i mgr Żygulski — dowiedzą się z ankiety, że naszym widzom bardziej się swego czasu podobała „Rosanna z siedmiu księżyców" niż „Hamlet", wówczas za sprawą rychło powiadomionej CWF — ekrany nasze obrodzą Rosannami od siedmiu boleści, a Hamleci pójdą w odstawkę. Słowem Rosanny (i Gildy) na ekranie, hosanny (śpiewy radosne) w Cewuefie. Naukowo to, i roztropnie. Tylko o kulturze filmowej cicho. A tak się ładnie wszystko zapowiadało!

Tylekroć razy skandowaliśmy hasło o „najlepszym w świecie repertuarze" i dowodziliśmy, że repertuar ów, z małymi wyjątkami — nawiedził był nasze kina. Podkreślaliśmy, że stało się to za niewątpliwą sprawą ciała zwącego się dumnie Filmową Radą Repertuarową. Rada zestawiona z osób znających się na rzeczy — d y k t u j e widzowi co ma oglądać i ustala rozsądny stosunek procentowy między ilością filmów typu „Rosanny" a „Hamleta". (Oczywiście dyktowanie jest pojęciem względnym, bo prawo wyboru pozostawione jest widzowi; niemniej w obecnej sytuacji istnieje szansa, że widz wybierając się do kina trafi na „Hamleta" a nie na „Rosannę", na „Porte des Lilas" i „Pierwszego po Bogu" — a nie na „Gildę", na „Mariannę moich marzeń" a nie „Modelkę" — itd.).

Gdyby widownia nasza miała pełne rozeznanie w przedmiocie sztuki filmowej, gdyby nie śmiała się na „La Stradzie" tylko na „Wakacjach pana Hulot", wówczas ankieta mogłaby mieć niemałą rację bytu. Ale widowni takiej nie mamy w Łodzi, ani też nie ma jej w żadnym innym mieście i zakątku świata. Nigdzie nie ma widowni, która by płakała na „Białej grzywie" a zachwycała się „Obywatelem Kane". Śmiem twierdzić więc, że ankieta, którą z taką satysfakcją zaplanowano — dostarczy jedynie prawd znanych, banalnych, oczywistych i niestety smutnych. I poza stosunkiem do dubbingu — ani jeden z punktów omawianej ankiety nie będzie mógł natchnąć Cewuefu nowymi atrakcyjnymi pomysłami.

Nie myślę negować sensu ankietomanii, zjawiska w pewnym sensie na pewno pożytecznego. Obawiam się jedynie, że zgodnie z tym, co w notatce „Dziennikowej" zostało bez ogródek powiedziane, nasze czynniki rozpowszechniania — pod pozorem zaspokajania (naukowo stwierdzonych!) wymagań widza — robić będą interes na kiczach, których dość (i bez tego) pęta się po rynku filmowym.

Autorzy ankiety mają jednak szansę wybrnięcia z ambicją i ostatnim słowem. Ankietę ogłosili w dniu 1 kwietnia. Niechże ją między żarty, albo bajki włożą. Okazja to jakich mało!